



ODRODZENIE

TYGODNIK

Kład: 40.000
Redakcja: Języskiego 16
Administracja: Języskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 16 maja 1948 r.

Nr 20 (181)

WSPÓŁCZESNA POEZJA CHIŃSKA

W PRZEKŁADZIE
CZESŁAWA MIŁOSZA

AI CZING

TREBACZ

Mówią, że los trębacza to nędza i smutek.
Chucha na delikatną mosiężną skórę trąbki i czyści ją,
A kiedy wdmuchuje w pustą trąbkę swoją krew i gra
Jego twarz jest żółto-błada.

I

Są tacy, którzy śpią nędźnie na badyłach słomy ryżowej,
Są tacy, którzy są śmiertelnie znużeni i okryci błotem,
Są tacy, którzy noszą strój szary jak ziemia.
Wśród nich on pierwszy się budzi.

Niezwykłe to przebudzenie,
Jak gdyby go poraził nagły powrót słońca.
Budzi się zdumiony.
Czemu jest to wszystko?
Rydwan brzasku mija go, klekocą kola
I dudnią coraz dalej.

Otwiera oczy.
W słabym świetle lampy która nie gaśnie przez noc
Widzi trąbkę u swojego boku
Niepewny, potem radosny
Budząc się ze snu
Widzi swoją najdroższą,
W takie dni
Zupełnie w trąbce zakochany.

Jaka słiczna —
Smukłe ciało jej polyska
Prostym zdrowiem,
Wstażki czerwonego jedwabiu
Splywają z niej w dół.

Wstaje i badyła słomy ryżowej
Nie skarżąc się że spał na mokrej ziemi.
Zawijając swoje owijające,
Zimną wodą chluszcze na twarz.
Patrzy na cicho chrapiących towarzyszy,
Ręce wyciąga po trąbkę.

A na dworze w ciemności
Nie przyszedł jeszcze świt.
Obudziła go jego własna
Wielka tęsknota do świtu.
Idzie powoli na pagórek
I stoi tam długą chwilę
Patrzając jak się spełnia cud, raz jeszcze, dnia.
Ciemna noc rozsunęła tajemnicze zasłony,
Nikną tysiące zmęczonych gwiazd.

Jutrzenko! Jesteś młodą żoną Czasu!
Przybywasz jadąc na złotolitym rydwanie,
Z daleka, z drugiego końca świata.
Nasz świat wita ciebie,
Zawieszka twój sztandar na Wschodzie.
Patrz!
Między niebem i ziemią spełnione są zaślubiny:

II

Teraz podnosi
Pod niebieskim przezroczystym firmamentem
Trąbkę do swoich warg
I dmie.
Trąbka pełna jest świeżego chłodu równia,
Więc z wdzięczności
Gra wesołą pieśń dla równin.
Zakochany w halaśliwym brzasku
Gra pobudkę
I pieśń jego biegnie coraz dalej.

Wszystkie rzeczy na świecie
W ich weselu i chwale
Przyjmują jego wezwanie...

Budzą się lasy,
Świergocą ptaki,
Rzeki nawołują
Konie do wodopoju.
Budzą się wioski,
Wiejskie kobiety idą nad brzegiem strumieni,
Szaro ubrany lud wychodzi z chat glinianych nosząc suknie blasku,
Dążąc tu i dążąc tam.

On schodzi z pagórka
I znika w tych ludzkich potokach
Zagrał pobudkę
I wezwał ich aby jedli.
Słońce w grzmiącym przepychu
Wstaje na firmamencie
I samo wszystkich już wzywa.

III

Droga wędruje
Do niekończących się nigdzie szczytów nieba
Droga wędruje
Udeptana przez miliony stóp,
Ślady kół, warstwy grubego błota.
Droga wędruje

OD TŁUMACZA:

Przekłady poezji chińskiej zostały dokonane na podstawie tekstów angielskich. Brak znajomości języka chińskiego u poetów europejskich zmusza siłą rzeczy do wybrania tej jedynie możliwej pośredniej drogi. Tłumaczenie poetów chińskich z drugiej ręki było dotychczas regułą i ja nie stanowią w tym wyjątku.

Teksty, na których się oparłem, pochodzą z antologii, wydanej przez Roberta Payne („The White Pony”, New York, The John Day Co., 1947). Antologia ta, obejmująca poezję chińską od drugiego tysiąclecia przed Chr. do czasów najnowszych, została ułożona przy ścisłej współpracy z pisarzami chińskimi, którzy albo sami tłumaczyli wiersze na angielski, albo kontrolowali dokładność przekładów.

Nie mając zamiaru konkurować z piękną „Fletnią chińską” Leopolda Staffa, ograniczam się do poezji najnowszej. Łatwo zauważyć, że ta najnowsza poezja chińska łączy własne narodowe tradycje z wpływami poezji obcej, europejskiej i amerykańskiej. Wzruszająca ludzkość i konkretność, dotykliwość każdego obrazu — oto co zachęcało mnie do przyswojenia tych wierszy językowi polskiemu. Sądzę też, że ludzie umiejący czytać znajdą w nich niemało materiału do rozważań o historii dzisiejszych Chin.

Oto kilka danych o osobach poetów:
AI CZING. Uważany za najwybitniejszego z poetów, jacy pojawili się w okresie ostatniej wojny chińsko-japońskiej. Pochodzi z Powłania (Kwantung). Przed wojną studiował malarstwo we Francji. Mieszka w Chinach Północnych. Poeta o silnych pierwiastkach ludojowopatriotycznych. Trudno mi było zebrać o nim bardziej wyczerpujące informacje.

WEN YI-TUO. Ur. w 1898 r. w prowincji Hupeh. Studiował malarstwo w New Yorku. Autor tylko dwóch niedużych tomów wierszy („Czerwona świeca” i „Martwa woda”), wywarł duży wpływ na młode pokolenie poetów. Znanymi jako wybitny badacz starej poezji chińskiej zamordowany 15 lipca 1946 r. przez żołnierzy Kuomintangu.

YU MIN-CZAN. Ur. w 1915 r. w prowincji Anhui. Pisze pod silnym wpływem poetów angielskich. Jego utwory zebrane wierszy w r. 1946 pt. „Trzydzieści wierszy”. Jest profesorem uniwersytetu w Pekinie.

PIEN CZI-LIN. Ur. w 1910 r. u ujścia rzeki Jangtse. Znanymi jako znakomity i niestrudzony tłumacz poezji francuskiej, również jak poeta oryginalny. Cztery tomy wierszy, które wydał uchodzą już za dzieła klasyczne poezji chińskiej XX wieku. W czasie wojny wiele lat spędził w szeregach partyzantów.

MAO TSE-TUNG. Ur. w 1893 r. w prowincji Hunan. W czasie wojny z Japonią wyższy wojskowy w armii Czang Kaj Szeka. Wiersz „Śnieg” został napisany w Czungkingu w końcu 1945 r. i jest podobno również popularny po obu stronach frontu w czasie obecnej wojny domowej.

Łącząc wioskę z wioską
Droga wędruje
Wspinając się na górę i schodząc z gór
A teraz
Jest złota w blasku słońca
Wtedy trębacz
Maszeruje naprzód w chwale słońca
I gra pieśń pochodu.
Niekonczące się dzwoniące płynnych dźwięków
Wydobywa się ze złotej trąbki.

IV

Szare stada ludu
Rozbiegają się szeroko po wielkich równinach
Tam gdzie na polach
Nieskończona zielona trawa
Jest oltarzem.
Słuchaj, ogłuszający ryk
Grzmotu na krawędzi nieba.
Wdychamy zmieszane zapachy ziemi i trawy,
Zapach dymu przychodzi z daleka.
W okopach spędzamy nasze zimy,
Cicho, czekając rozkazów
Jak kobieta rodząca
Która czeka cierpliwie na dziecko.
Nasze serca są wezbrane
Nową bogatą miłością.
Teraz, w te dni, gdy zbliża się kres życia
Tak, jak to dla nas przygotował Czas,
Przygotowujemy siebie,
A każdy ma czystą i świętą wolę,
Aby zasłużyć na śmierć w chwale bitwy

V

Wojna zaczęła się okrutnie:
Masy żołnierzy,
Zdumione światło blizszy z ich bagnetów,
Skaczą z okopów,
Biegając wspaniale,
Zbliżając się do grożącego wroga.
Grzmot i błyskawica śmiertelnych krzyków!
Maszerować nie będą nigdy już —
Nigdy już
Potężnego dudnienia stóp.
A trębacz
Którego natchnęły usta życia,
Gwałtownie, pokornie
Gra na trąbce w chwili swojej śmierci.
Głos jego zagłusza wszystko,
Głos jego piękniejszy nad wszystko,
Natchniony przez życie, kończy modlitwę zwycięstwa
W chwili, gdy kula przebija mu serce
Pada cicho —
Nikt nie widział jak pada.
Ku ziemi, którą kochał nade wszystko
W ręce ściskając
Swoją trąbkę

Gładka skóra trąbki
Odbiła chłopca krew
I jego białą twarz.
Odbija także
Pochód żołnierzy,
Ich nieustanne dążenie
Ich konie rżące,
Ich grzmiące wozy
Słońce, słońce
Blyszczy na gładkiej trąbce.

Słuchaj,
Ta trąbka grać nie przestaje

WEN YI-TUO

BÓG MIŁOŚCI

Jak piękne są te oczy!
Bóg miłości, dwie sadzawki cichej, czystej wody.
O biedni słabi pływacy
Radzę wam, wróćcie na brzeg.

Leszczynowe krzaki są nad wodą,
Jak są wdzięczne brwi z czarnego jadaitu!
Nos, łagodne zbocze, piramida,
Może być grobem kochanka.

I są drzwi, dwa listki czerwone,
Czerwone jak najdojrzałe wiśnie,
A wewnątrz parawan z białych muszli.
Któż wie jakże leżą tam sidła?

Może to jest raj Edenu,
Dom piękna, ołtarz miłości?
Nie, niezupełnie —
Pusty pałac w którym gonią się złe duchy.

YU MIN-CZAN

LADY MACBETH

Jedenaście, dwanaście, jeden...
Czarne dźwięki zegara chwiejące się, tańczące,
Chwiejące się, tańczące, padające...
Trzepot skrzydeł umierającej śmy.

Noc księżycowa zaćmiona skrzydłem chmury
Wznosi na oknie
Stuletni nagrobek
Wtedy mam nagle olśnienie —
Być pogrzebanym w brzuchu ryby.
Czy to jest martwa samotność jaskrawego południa?

jak diament przecinający w pół tafle lodową
Dziecko sąsiada krzyczy w ciężkim śnie.
Mama to miód, mama wino, mama opium.

Szukać uczucia co przypadło
Czy pozbyć się obrazu który dręczy?
Teraz Lady Macbeth wysiłguje się z pokoju.
Idzie na palcach
I z zakasanyimi rękawami
Sklada dowód swego heroizmu.

PIEN CZI-LIN

PIERWSZA LAMPKA

Ptaki polykają kamyki aby mleć na żarnach swoje zbiory
Zwierzęta boją się ognia. Ludzie b'orą ogień i tak powstaje cywilizacja.
Błogosławieni którzy wstają o wschodzie słońca i kładą się spać o zmroku
Ja jednak wielbię pierwszą lampkę co otwiera nowy świat

MAO TSE-TUNG

ŚNIEG

Tysiąc li*) szrenu i lodu.
Dziesięć tysięcy li śnieżnej kurzawy
Opasuje krainę północny.
Patrz, po jednej i po drugiej stronie, tam gdzie Wielki Mur,
Zostało tylko ogromne zamieszanie.
Ani w górnym, ani w dolnym biegu Żółtej Rzeki
Nie zobaczyć już płynącej wody.
Góry to tańczące srebrne węże,
Pagórki na równinach to błyszczące słońce.
Chcę naszą wysokość porównać z niebiosa.

W czystą pogodę
Ziemia jest tak piękna
Jak różowa dziewczyna ubrana w biel
Taki jest urok tych rzek i tych gór
Że idą za nią niezłoczeni bohaterzy.

Cesarze Szi Huang i Wu Tu mieli mało kultury,
Cesarze Tai Tsung i Tai Tsu mieli mało uczucia,
Dżengis Chan umiał tylko do orłów napiąć swój luk.
Wszyscy oni przemielili — tylko dziś są ludzie którzy czują!

*) li — chińska mila



OPOWIADANIA GRECKIE

Wierna sluga

Morze i niebo było kamiennie szare, lodowaty wiatr z Vardaru zmiałat kurz z szerokich bulwarów Etniki i alei Zwycięstwa, kręcił wiry na rogach ulic Ts. m. sky i Egnatia i rzucał pasek w oczy, zapieczętował przed siebie, ręce wsunął głęboko w kieszenie i szłam tuż przy murach kamienicy, ale niewiele to dało ochrony. Nie wstępowałam już do wielkich jubilerskich sklepów, gdzie dawano mi irytujące niskie ceny za papierośnie. Może także chciałam odwieść chwilę sprzedawcy Niechętnie rozstawałam się z pamiętką po drogim mi stryju.

Nie wiodło mi się w Salonikach; niepodobała była przygnębiająca, upragnione listy nie nadchodziły, nie wiedziałam, czy mam nadal czekać w Salonikach, czy wracać do Aten. W banku odmówiono mi wypłacenia pieniędzy na czek przysyłany z kraju, żądano poświadczania trzech obywateli salonickich, a nie znalazłam nikogo. Musiałam przenieść się z dobrego hotelu do tańszego, gdzie marzłam gorzej niż na ulicy, a właściciel wyglądał na skoczniejszego lajdarka. Na dobitkę coraz mocniej bolało mnie gardło i trzęsły dreszcze.

Na placu Kalamaria przystanąłam na chwilę przy piecyku z kasztanami; jakżeż zadrżałam przepuknioną, że może grzać się spokojnie cały dzień. Kupiłam za ostatnie drachmy tubkę kasztanów i włożyłam do kieszeni, teraz przy najmniej było mi ciepło w ręce. Kasztany były na wpył spalone a na wpył surowe, ale prawdziwie gorące. Mroczniało coraz bardziej, gdzieś z zapalonego światła w sklepach. Skuleni przechodnie zamiat zrywkiem „pięknego wieczoru“ podawali mi się pospiesznie „o- to mamy zimno“.

Wreszcie w bocznej uliczce zobaczyłam sklep jubilerski, poczułam się wygadająca, pomyślałam: tu, albo nigdzie, i wszedłam do środka. Przy stoliku w kącie niosła już dwójka oszczędnie twarzą z lupą na oku wprawiał szczytkami kamień w pierścionek. Przy ładnej pięknej kobiecie czytała na głos książkę. Podniosła oczy, gdy wszedłam, ale nie przerwała czytania, dopiero doszedłszy do końca rozdziału zamknęła książkę i zapytała czym może służyć.

Zgłosiła przy tym na mnie jakieś fglarano-smutne spojrzenie i wyganiała rękę, ale nie po złota papierośnie, tylko po to by uściśnić mi dłoń — jak się martwić, jak ktoś musi sprzedawać — powiedziała kręcąc głową, i nagle roześmiała się — pani jadła kasztany, a wy widzę lupkę — i zdjęła lupkę z mego paska. Poczułam się w tym obcym sklepie i jak w domu, a trochę jak w bajce Andersena. Nie wiedziałam jak się ta piękna kobieta nazywa, a z każdym słowem, z każdym spojrzeniem stawała się dziwnie swoja, a równocześnie niezwykła, jak swoim i niezwykłym bywa sen i nie wiadomo, jak zaczęła się rozmowa cudownie łatwa o wszystkie, o sprzedawcy kasztanów, o zimnym wietrze, o dzwonek zdobionych kamienicach Salonik, o Bracach Karamazow, których mężowi czytała potem długo opowiadałam o stryju Julku, w którym kochał się wszyscy na zabój, o domu, naszym domu.

Przytakiwała, wpatrując się we mnie marzycyjni oczami. Od czasu do czasu obracała się w stronę meza — słyszysz Ludwiku, słyszysz, to całkiem tak jak u mojej matki — Jubiler zdejmuwał lupę i patrzył na nas przynurając oczy, jakbyśmy się znajdowały bardzo daleko. A Dora, po powiedziała mi, że tak ma na imię, położywszy twarz na splecionych rękach zaczęła mówić o tym, jak to na słubie swojego pierwszego meza poznała tego oto Ludwika, jak się w nim od pierwszego wejrzenia zakochała, jak była nieszczęśliwa, bo ani mąż, ten pierwszy, nie chciał słyszeć o rozwodzie, ani rodzina nie chciała się na to zgodzić, a i sam Ludwik wzdurzał się, próbował szczęścia wbrew wszystkim i, jak wreszcie ona przeprosiła to co chciała. — Mam dwóch synów, baka się nimi zajmuję, Kocham ich oczywiście, ale bez Ludwika godziny nie mogłabym wyżyć. — Mówiła to wszystko, jakby tego kochanego Ludwika przy niej nie było.

Posadziła mnie za ladą przy żelaznym piecyku, zagrzała czerwone wino z korzeniami i przytrzymując kubek od spodu jak dziecku, kazała pić, pić gorące. Piłam parząc sobie usta wino upiłam sobie od razu. Śmiała się głośno czarne koca zwiniętego w kłębek na moich kolanach, śmiała się podświadczać na piecyku sagenek z wodą i iskry sybiące się do popielnika. Dora paliła papierosa i opowiadała o swojej rodzinie, niegdys bardzo bogatej i świetnej. Nagle usłyszałam jak w sąsiednich sklepach zaczęto spuszczać żaluzje, nie może się przeciągać w nieskończoność i że z chwilą trzeba będzie odejść do przyjemnej, dziwnej Dory i jej chudego meza, niewlekającego teraz cierpliwie perłki — To dla naszej sasiadki; córka jej ma je zaniść jutro jako wotum do kościoła świętego Sofira. Mała była chora na zapale-

nie mózgu, śliczne dziecko i bardzo mądre, nie wiadomo czy się więcej cieszyć, jak dzieci są mądre, czy się bać. Ale to naprawdę cud, że mała wyzdrowiała. Mój stryj ją leczył, ale Pan Bóg uzdrowił.

Gdy jubiler skończył nawlekać perełki włożył je do pudełeczka, zszedł do irchowego mieszka pierścionki i drogie kamienie i ukrył to wszystko w żelaznej szafie słupki z obrączkami i taciki kryte akrylamem pełne zegarków. Wreszcie schował moją złotą papierośnie, wyplaciliśmy mi przynajmniej dwa razy tyle, ile ofiarowywano mi w innych sklepach. — Zaczekamy, aż pani będzie mogła ją wykupić — powiedział na pożegnanie.

— Jeszcze się zobaczymy — szepnęła Dora, odprawiając mnie do drzwi. Jakżeż inaczej wyglądała teraz miasto, gdy szłam z pięknymi w kieszeni. Nawet nie wydawało mi się zimno i nie czułam głodu.

W aptece zaopatrzyłam się w tubkę aspiryn i wróciłam do hotelu z przekonaniem, że następnego dnia przyjdzie ugrzany list. Położyłam się do lodowatej pościeli w najlepszym humorze, pewna przyjemnego ranka. Nim jednak nadszedł, obudziłam się z przykrym bólem gardła i pulsującymi skroniami. Nieznosząc wlokły się godzinę przed świtem, chwila mi się bałam, że tracę przytomność. Usłyszawszy hałas w korytarzu zadzwoniłam, ale upłynęło dużo czasu, zanim wiedzmowała pokojowa przyniosła mi kawę; czuło jak byłem karbolem i brudną wodą, nie mogłam jej nawet wciągnąć do ust Z odrętwienia zbudziła mnie głos Dory. — Nie zostanie pani tu ani chwili dłużej — krzyczała pakując moje rzeczy. — Pojedziemy do mojej ciotki, tam pani wyzdrowieje. Już tego stryj dopilnuje. — Skrzyczała właścicielka hotelu i posłała go po konie. Ani się spostrzegłam, jak jechałam dorożką przez dzielnicę Kalamaria i wchodziłam do willi w głąb rozległego ogrodu. Dwie stare kobiety, ciotka Dory i służąca Rozalia, wbiegaly i wybiegaly z pokoju i sprzącały się namietnie, jak mi będzie najlepiej. Ale nawet w pięknym ciepłym pokoju gorączka nie malała, przeciwnie, rosła i nazajutrz stary doktor przeciął mi wrzód w gardle.

Stryj Dory był bardzo do niej podobny, tyle że bardziej siwy i bardziej od niej kłóliwy. Kiedy siedząc przy mnie trzymał mnie za rękę, natracając na swój wielki, piękny złoty zegarek, zdawało mi się, że to nasz doktor domowy i że za chwile wejdzie do pokoju matka z zapłakаныmi oczami. Na całej twarzy widok męskiego, złotego zegarka złączył się ze wspomnieniem bólu gardła.

Wieczorem wpadała Dora, rozpychając drzwi pakunkami, zdmuchując włosy opadłe na oczy, krzycając i śmiejąc się równocześnie. — Dora jest wariatka — stwierdzała pogodnie stryj i zabierał się do rozpakowywania paczek. Rozpływał węzełki, molał starannie sznurki, składał papiery. Rozalia zjawiała się w milczeniu i chowała osobno sznurki, osobno papiery; na to co Dora przyniosła, stara służąca patrzyła niechętnie — tak jakby nam czego w domu brakło — mruzczyła.

Ciotka Dory siwowlasa dama o potężnym biuście, władczym spojrzeniu, malutkich rękach i nogach z rozwaniem dość pagardliwym traktowała i brata i bratanicę. Należeli do jej dworu, do tego raz na zawsze ustalonego ładu, stanowiącego dla starej egoistki samo życie.

To że znalazłam się w tym domu, należało do jednego z wariatów Dory, ale ponieważ wariatka jej stanowiły główny temat rozmów i główna podnieta życia, przyjęło mnie dobrze. Gośćnością w tym domu była zresztą głównym sakramentem i poniekąd rąbnym istnieniem. Cóż wartabyły cenne perskie dywany i koronki, pracowite abażury, a nawet sama doskonała czystość, jeśliby tego wszystkiego nikt nie miał pochwalić.

Ciotka Dory wyglądała tak, jak wdowa po bankierze powinna wyglądać, to takie czepkające w tych niepewnych czasach — żartowała

Dora przyglądając się staroświeckim żabotom i staroświeckiej fryzurze

— Największy mam kłopot z Rozalią z powodu dewaluacji drachmy. Ona nie jest w stanie tego zrozumieć. Ma biedaczka złożone w banku swoje oszczędności i wieczorami wciąż oblicza, ile zys-

— Dziś przecie niedziela — tłumaczyła gospodyni oparzysty się na matle — autobus odjeżdża dopiero jutro po południu. — Siedzieliśmy przy oknie ziębniejąc i niechętni, odczytując przez mgłę wciąż te same napisy na blaszanych tablicach, chwytając za czekolady Floka i maszyny Singera. Gospodyni wy-

ANNA KOWALSKA

chlusnęła brudną wodą na kamień dziedzina. Chude kury pobiegły pod płot i zaraz wróciły, by dziobać kuleczki zwilżonego kurzu. — Tak czy tak musicie czekać, bo do Lamii coś ze trzydziestu kilometrów. A to, żeby w łózkach były pluskowy, pierwszy raz słyszę, czasem człowiekowi coś się przywidzi — przekonywała nasze uparte milczenie.

Gospodyni nie była przyjemna, a pokój zimny i brudny. Zrzuciwszy plecaki na ramiona i zaplaciwszy wsiżyliśmy na drogę. Chłopi stali na progu domów i przyglądali się nam drwiąco: iść piechotą skoro Pan Bóg stworzył osły.

Za wsią od razu nabraliśmy humoru, mimo że gęsta biała mgła zakrywała przed nami świat; szliśmy jakby na dzień jezora. Ktoś biegł zsozą, ktoś nas doganiał. — Dzień dobry, spóźniłem się, czytowałem na was bo i mnie się spieszy do Lamii, ale gospodyni gotowała mi jajka na drogę. — Rozpoznaliśmy w tym jęgodziemciu komiwojażera, z którym jedliśmy kolację w gospodzie. — Mężna? — zapytał równaż krok — Zawsze różniej razem, prawda? Ciekawym czy mgła opadnie, czy się podniesie.

Zaczął mi plecaka a droga wydała się nieponętna. — Czym handlujecie? — Nie handlujemy. — Ah, domyślam się — zaął się uradowany i dotknął aparatu przewieszzonego przez ramię. — Fotografujecie. Poznałem jednego Szwajcara, pochodził z Genewy, fotografował ruiny, ludzi a nawet osły i kozy, pracował dla firmy kartek pocztowych. Jak człowiek obrotny, to na wszystkim potrafi zarobić, no nie?

Przypieszyliśmy kroku idąc skrajem drogi bardziej wydeptanej. Wisko zaczęło przegładac przez mgłę białe słońce, drzewa ukazywały się w oddali. Szliśmy z jaką godziną w milczeniu, wysorowawszy się naprzód, z nami podążał komiwojażer.

Fo lewej stronie drogi zarysowały się pagórki, a z nimi wysoko czarny zarys lasu. — Nie wiem dlaczego właściwie my tak pedzimy — gderał sapiać. — Cała niedziela przed nami. Może spotkamy jakieś auto co nas podwiezie. Ja się nigdy nie spieszę i nie na tym nie wychodzę. U nas w Salonikach... — Tuż nad naszymi głowami ukazał się prawie równocześnie dziki gołąb i jastrząb; przystanęliśmy z głowami

jedwabiu. Ja jej nigdy nie noszę... Froszę mi lepiej podać moją ulubioną lyżeczkę, jeszcze żiołek nie wypila. — Nazajutrz Rozalia pracowała z jakąś zaciekłą gorliwością, a obiad celebrowano uroczystości, tego bowiem popołudnia miałam odjechać do Aten ze znajomym Dory, który się ofiarował zabrać mnie swoim autem. Doktor zjawił się w nowym ubraniu i miał związane pod brodą fantastyczny fular w groszki. Przez cały prawie obiad bawił nas opowiadaniem o walkach religijnych czternastego wieku wszczętych w Salonikach przez Hesychasów

Dora odwiozła mnie do środka miasta. W selskiowej czapce niedbale założonej na głowie i w rozpiętym popielatym płaszczu wyglądała jeszcze piękniej niż zawsze. Żegnała mnie ze łzami w oczach i tak ją zapamiętałam pełną uroku i tajemniczej dobroci. — Nie zobaczmy się już nigdy — powiedziała ze smutkiem — skłębła ręką do siebie pisać — skłębła ręką.

Pani Dora ma śliczne ręce, zauważyła to pani — powiedziała mój towarzysz podróży — niestety mi było zgadnąć z tego co mówił że się w Dorze nieszczęśliwie kochał. Życie w Atenach, nowe spotkania i nowe ciekawości pochłoniły moją uwagę. Jednego dnia dostawałam obszerny list od Dory, najczony wykrzyknikami. Patrząc na brzydkie, niewyroblone pismo, że śliczne ręce wiele z tego co pisała było niezrozumiałe, chciałam za wiele powiedzieć, a nie umiała tego wyrazić. Jedną wiadomością była aż nadto zrozumiałą. Pisała, że ciotka jej która mnie gościła, została zamordowana przez Rozalię. „Nożem kuchennym poderżnęła jej gardło. Nawet nie próbowała uciekać. Zastaliśmy ją w kuchni; bawiła się cioteczna jedwabną parasolką z motylkiem. Odstawiono ją do więzienia. Pojejrzewamy o bled, ale stryj się upiera, że jest zupełnie zdrowa“.

Anna Kowalska rys. Marii Hiszpańskiej

Natret

wzniesionym; gołąb zataczał coraz mniejsze kręgi, aby nagle rzucić się ukosnym lotem do uciecicy w stronę lasu, nadaremnie, jastrząb odgrodził mu drogę i dopadł gołąbka kołującego w rozpaczliwym pospiechu; posypały się pióra i jastrząb poszybował z gołębiem w szponach.

— To przykry widok — powiedział komiwojażer — od razu przypomniał mi się mój kierownik; on tak z ludźmi postępuje. Raz, dwa i, już cię nie ma. Dopiero dwie maszyny do szycia umieściłem, a muszę mieć dziesięć zamowień, inaczej nie mam po co wracać do Salonik. Teraz kobiety stały się takie leniwe, że nawet im się nie chce szyc na maszynie, moja ma- nieboszyczka wszystko w rękach szyla dla całego domu. Dzisiaj kęda babna kupuje sobie w sklepach gotowe suknie. Świat się psuje... Niedługo ostatni Adam się obawi i ci co pragną, przyjdą do Duchy i kto zechce weźmie za darmo wodę żywtwa... — wyjął parę broszur i biblię — oglądajcie sobie, to bardzo mądre książki. Nie, nie wolno odtrącać prawdy, bo nie znamy dnia ani godziny, a po cóż Bóg ma nam odejmuwać coś z drzewa żywota. Biercie, daję wam — nagił wpychając książki do kieszeni plecaka. — Nie tylko maszyny sprzedaję, ale i biblię; wstęwa się w pogardzie a powstanie w chwale.

W tej chwili zobaczyłam na pagórku młodego pasterza, wspartego na zakrzywionej pasterskiej lasce. Ukazał się niespodzianie, jakby cudem ożywna postać starożytnego wazy. Smukłość chłopca, wdzięczny ruch a także idealnie prosta linia nosa i loczkowaty zarost objawiły się nam jak tajemnicze ciągłości i trwania typu greckiego.

Pójdzmy górę, zrobimy parę zdjęć — powiedziałam. Komiwojażer popatrzył z wzruszeniem: — A ja? — Pan sobie odpocznie. Usiadł nadąsany przy drodze i zaraz wydobyl z walizki pudełko, było w nim chyba z mendel jaj. — No, dobrze, odpocznijcie, a po tem spotkam się na gościńcu, fotografowałem ruiny, ludzi a nawet osły i kozy, pracował dla firmy kartek pocztowych. Jak człowiek obrotny, to na wszystkim potrafi zarobić, no nie?

Przypieszyliśmy kroku idąc skrajem drogi bardziej wydeptanej. Wisko zaczęło przegładac przez mgłę białe słońce, drzewa ukazywały się w oddali. Szliśmy z jaką godziną w milczeniu, wysorowawszy się naprzód, z nami podążał komiwojażer.

Fo lewej stronie drogi zarysowały się pagórki, a z nimi wysoko czarny zarys lasu. — Nie wiem dlaczego właściwie my tak pedzimy — gderał sapiać. — Cała niedziela przed nami. Może spotkamy jakieś auto co nas podwiezie. Ja się nigdy nie spieszę i nie na tym nie wychodzę. U nas w Salonikach... — Tuż nad naszymi głowami ukazał się prawie równocześnie dziki gołąb i jastrząb; przystanęliśmy z głowami

jedwabiu. Ja jej nigdy nie noszę... Froszę mi lepiej podać moją ulubioną lyżeczkę, jeszcze żiołek nie wypila. — Nazajutrz Rozalia pracowała z jakąś zaciekłą gorliwością, a obiad celebrowano uroczystości, tego bowiem popołudnia miałam odjechać do Aten ze znajomym Dory, który się ofiarował zabrać mnie swoim autem. Doktor zjawił się w nowym ubraniu i miał związane pod brodą fantastyczny fular w groszki. Przez cały prawie obiad bawił nas opowiadaniem o walkach religijnych czternastego wieku wszczętych w Salonikach przez Hesychasów

Dora odwiozła mnie do środka miasta. W selskiowej czapce niedbale założonej na głowie i w rozpiętym popielatym płaszczu wyglądała jeszcze piękniej niż zawsze. Żegnała mnie ze łzami w oczach i tak ją zapamiętałam pełną uroku i tajemniczej dobroci. — Nie zobaczmy się już nigdy — powiedziała ze smutkiem — skłębła ręką do siebie pisać — skłębła ręką.

Pani Dora ma śliczne ręce, zauważyła to pani — powiedziała mój towarzysz podróży — niestety mi było zgadnąć z tego co mówił że się w Dorze nieszczęśliwie kochał. Życie w Atenach, nowe spotkania i nowe ciekawości pochłoniły moją uwagę. Jednego dnia dostawałam obszerny list od Dory, najczony wykrzyknikami. Patrząc na brzydkie, niewyroblone pismo, że śliczne ręce wiele z tego co pisała było niezrozumiałe, chciałam za wiele powiedzieć, a nie umiała tego wyrazić. Jedną wiadomością była aż nadto zrozumiałą. Pisała, że ciotka jej która mnie gościła, została zamordowana przez Rozalię. „Nożem kuchennym poderżnęła jej gardło. Nawet nie próbowała uciekać. Zastaliśmy ją w kuchni; bawiła się cioteczna jedwabną parasolką z motylkiem. Odstawiono ją do więzienia. Pojejrzewamy o bled, ale stryj się upiera, że jest zupełnie zdrowa“.

Anna Kowalska rys. Marii Hiszpańskiej

wało się plectwo błotne, tam gdzie niedys toneli Persowie. Zatoką umierała opodal drogi. Zeschle trzciny i wysokie trawy moczarów bieliły się jak kości i szeleszcily smutno. W całym świecie młodych błasków i miękkiej nowości jedy- nie zatoka trwała w zimowej śmierci.

Tak więc wawóz termopilski nigdy nie był wawozem, stwierdzaliśmy nie bez rozczarowania, ale jedynie drogą ograniczoną z jednej strony pochyciością stoków, z drugiej zatoką Malijską, a właściwie szerokim jej zalutem. Za czasów Leonidasza morze sięgało znacznie



dalej, tak że przosmyk był ciśniejszy. Dziś brzeg morski się cofnął, a Sphercheos przedłużyl korytę, a raczej korytka, gdyż przy ujściu dzieli się na kilka łozysk.

I Dawid nie wiedział, czym jest wawóz termopilski, skoro na obrazie bitwy pod Termopilami upozował Leonidasza u zbiegu dwu skał, nachylonych ku sobie... — przypomniał Jerzy.

Dawid? — podchwycyli komiwojażer. — Dawid to mełna głowa, rozmawiaz z nim, to ci na obiecuje nie wiedzieć co, ale nigdy nie dotrzyma. Nie wiedziałem, że go znacie.

Gościeńiec skrecał ku Lamii. U podnóża gór były w gęstym obłoku gorące źródła o przejrzystej szmaragdowej wodzie. Dalej sterzający przela akwedukt, grubo oblepienie sopkami barwy zastęglych krwi. Kolorowe strumienie pedzily do Sphercheosa a z nim do niedalekiego morza.

Czerwono-czarny akwedukt, młyn zaniedbany, walace się, mury, jakież to wszystko niezrozumiałe, zwykle i niepodobne do uroczystej zjawy historii. Mniejsmy drugą rzeczke o czerwonej wodzie wspominanej w opisie bitwy u Herodota, potem przeszliśmy most na Sphercheosie i odpoczywaliśmy u brzegu. Wystraszył nas pies owczarski, a gadłstwo komiwojażera obrzydliło nam wawóz termopilski historię i przedwiosenny wiec- zół.

Minęliśmy pod topolami opuszczone kapliczki; takie kapliczki dodają wdzieku opuszczenemu krajozrazowi Grecji. Pisarze greccy wspominaję je często pod innym wyznaniem.

To ładna kapliczka — zachęcał mnie komiwojażer — nie zrobi parę zdjęć? — Ale nie chciałam mieć jeszcze jednej fotografii z komiwojażerem na pierwszym planie. Gdy tylko zabierałam się do fotografowania, zaczynał przechadzać się z niedbata miną, przypatrując się drawkom lub chmurkom, aby nagle zrobić jeden krok i oto patrzył w obiektyw wyszczerzając złote zęby.

Jutro przyjdę do was do hotelu — zaczął serdecznie i zabiorę wasz film do wywołania. Mam znajomego, ode mnie nic nie weźmie, a ja każe zrobić dla siebie po jednej odbicie, a druga ofiaruję państwu. Jestem zadowolony z wdową po aptekarzu, niemłoda, ale bardzo... — zrobił ruch rękami jakby podzulał piłki. — Ona lubi fotografię, jest wykształcona, opowieł mi że to było w miejscu, gdzie Grecy pobili Turków. To robi na niej dobre wrażenie. I jak to do brzy uczynek zawsze doczeka się nagrody! Bo ja, przynam się, lubie bardzo samotnie chodzić, ale rano sobie myślę: — O, pójde z nimi, zawsze cudzoziemcom różnej biedzie w komitywie, no i poszedłem, a teraz za to dostanę od was fotografie dla mojej Niny. Śmieję się, nie wierzęcie w się do brych uczynków, ale przyjdzie chwila, że luskni wam spadną z oczu, ja także nie zdawałem sobie długo sprawy z sił ducha.

Okurzeni i zdrozeni wchodziłsi- my pospiesznie na główny plac Lamii, wysadzany drzewkami pomarańczowymi, o małych poplamionych owocach. W bocznych uliczkach tłoczyli się górale o spojrzaniach nagłych i natrętnych, powolnym krokiem podążający od kawiarenki do kawiarenki.

Jutro jarmark — zamyślił się komiwojażer. — Chyba weźmę od was z powrotem biblię, jąka wam dałem, bo i tak nie będziecie jej czytali, a może komu innemu się nada...

Anna Kowalska rys. Marka Rudnickiego

JAN LENICA

O karykaturze współczesnej

O KARYKATURZE WSPÓLczesnej

W „Notatniku” Czesława Miłosa („Nowiny Literackie”, nr 15) czytamy: „Rozmawiamy o cartoonach (rysunkach humorystycznych), które bodaj tylko w Ameryce wykształciły się jako gatunek artystyczny, od smirny comiców do znakomitego dowcipnych rysunków New Yorkera”.



rys. Z. Wasilewski

Nie chcę tu powtarzać starego, powiedzonka „swego nie znacie...”, gdyż Miłosz z wielką swobodą pomija nie tylko rysowników polskich, ale i mistrzów ołówka Francji, Włoch, Związku Radzieckiego czy Czechosłowacji. Rysunek amerykański posiada w swych szeregach niewątpliwie wielu świetnych humorystów, nie satyryków, gdyż ten rodzaj karykatury rozwijał się w Ameryce raczej słabo. Rysuje tam wspaniali Steinberg, zresztą Rumun z pochodzenia, pojawia się

NA ZIELONYM GLOBIE

(Dokończenie ze str. 4)

W pewnej chwili spytałem czy jest na sali Mensch, który jak już wiem najbardziej tu czytany. Był, nie chciał się pokazać, dopiero inni wywoływali go z gromady.

Wtedy podszedł do mnie młody, trzydziestoletni mężczyzna. Powiedział cicho, mnie tylko, bo się wstydził mówić do całej sali.

— Czytam dwie książki na tydzień.

— To dużo, bardzo dużo. Wnet mam tu książkę braknie. A kim jesteście z zawodu? Rolnikiem?

— Nie, jestem palaczem w tutejszej gorzelnii.

Brawo, przyjacielu. Jaką książkę ci dać kiedy mam przy sobie tylko swoje, z których czytałem tu fragmenty. Skoro jednak czytałeś i mój „Pluton z dzikiej łąki”, dalem mu drugi tom tej powieści. Seisakany sobie ręce. Robotnik wraca z książką zawstydzony przez sale.

Ten palacz odkryty na zielonym globie uratował wraz z kobietą spod Wilna i z dziećmi szkolnymi honor czytelnicy owych wsi dekamki zabitych. Nie dokonał tego żaden „gbur”, jak tu się nazywa z uszanowaniem bogatych chłopów i nie wójt nawet, ale robotnik gorzelniany i uroczęcał szkolnie, recytując „Ode do młodości”, tęskniące do wysp Robinsona i wspominające nadludzką walkę Ursusa, który „zmożył byka i był wolny”.

Michał Rusinek

stale „Mały król” i inne dowcipne pomysły O. Soglowa, rysuje Virgil Patch, milutki Cobeau, oraz cała plejada dobrych rysowników — realistów, których wspólną cechą jest nadzwyczajna trafność podpatrywania śmieszności życia codziennego.

Jednakże proces wykształcania się karykatury jako gatunku artystycznego toczy się równocześnie w krajach, które wymieniłem powyżej. Francuzi wnieśli do karykatury wdzięk i lekkość rysunku. Włosi zapoczątkowali rysunek uproszczony do ostatnich granic, „infatalny”, celujący w dowcipie absurdalnym, nonsensownym. Czesi uprawiają rysunek na wskroś nowoczesny, wykorzystując formalne zdobycze współczesnego malarstwa i grafiki.

Polska karykatura zajmuje na równi z grafiką niewątpliwie jedno z czołowych miejsc w Europie, nazywa „Szpilki” są treściowo jednym z najbogatszych, a zarazem jednym z najgorzej d. ukowanych pism tego rodzaju. Otóż tu właśnie sek. Definitywnemu zajęciu należnego nam miejsca stoją na przeszkodzie przede wszystkim ograniczone możliwości graficzne, t. j. reprodukcyjne, oraz zupełny brak wydawnictw zbiorowych i antologii karykatury polskiej. Niedawno temu



rys. W. Daszewski

pokazywał mi Eryk Lipiński list od redakcji „Krokodyla”, która prosi o przesłanie jej antologii czy albumów naszej powojennej karykatury, gdyż zamierza wydać taki zbiorek w Bibliotece „Krokodyla”. Okazuje się, że nie możemy zadośćuczynić tej prośbie: po prostu w ciągu 3 powojennych lat nie zdobyliśmy sianca na jeden — nie licząc tomiku Biblioteki „Szpilek”, — „Pożegnania z Hitlerem” — zbiór polskiego rysunku satyrycznego. Sytuacja wydaje mi się dość dziwna, jeśli się zważy, że mamy wielkie instytucje wydawnicze; pierwszy występuje z propozycją wydania obszernej antologii karykatury polskiej mało znany, prywatny wydawca z Jarocina Wielkopolskiego. Zresztą nie wiadomo, czy jego wysiłki zostaną uwiecznione powożeniem. O ile wiem, na propozycję wydawniczą ze strony moich kolegów po ołówku odpowiadano zwykle argumentem nierentowności tego rodzaju wydawnictw. Zarzut dość dziwny; wydane przed wojną tomiki karykatur Sichulskiego, Za-

ruby, Jotesa oraz dwa powojenne tomiki Biblioteki „Szpilek” rozeszły się dość szybko. Za granicą istnieje ciągła adycja wydawania pięknych zbiorów rysunków. Aż zażródź bierze, gdy się przegląda estetyczne wydawnictwa czeskie, uroczę teki Feyneta czy skromne, lecz regularnie wydawane zeszytyki Jean Effela, wytworne książki amerykańskie czy luksusową antologię radzieckiej karykatury antyfascystowskiej. Wydawnictwa te są trwałe i wartościowymi pozycjami w dorobku karykaturzystów zagranicznych.

Wydaje mi się, że rola satyry jest stale jeszcze niedoceniana. „Lżejszy kaliber”, jak nazywa Jan Huszcza twórczość satyryczną, jest u nas ciągle jeszcze artystycznym Kocpluzkiem. Satyrycznej poczty i prozy broni dzielnie przed zamianianiem, i niedocenianiem Jan Huszcza (Artykuły w „Nowinach Literackich” i „Dzienniku Literackim”) czy Jan Spiewak w omówieniach nowości wydawniczych z dziedziny literatury satyrycznej. Ja chciałbym w poniższych, luźnych zresztą i niekompletnych spostrzeżeniach omówić powojenną sytuację karykatury polskiej, choć wolałbym, aby zajął się tym ktoś bardziej powołany.

KARYKATURA PORTRETOWA

Podział, który tu stosuję na karykaturę portretową, rysunek satyryczny i humorystyczny, nie jest zasadniczy, granica bowiem pomiędzy tymi gatunkami jest trudna do ustalenia. Ułatwia mi on po prostu omówienie działalności dość licznej grupy naszych rysowników.

Na czołowym miejscu wymienić muszę nestora, Jerzego Zarubę. Zaruba w ciągu lat wykształcił swoją spostrzegawczość do perfekcji, w różnych karykaturach tego samego człowieka widzimy coraz to nowe, charakterystyczniejsze szczegóły humor jego jest bezstroskim humorem pyknika. Operuje po mistrzowski linią swobodną, pozornie niedbałą i nieomylnie trafną. Zaruba jest dowcipnym odtwórcą postaci i scen Dickensowskiego „Klubu Pickwicka”, których kilka wisi, jak dotąd tylko w jednym z łódzkich lokali. Chętnie urzędziłbyśmy wydanie „Klubu Pickwicka” z barwnymi ilustracjami Jerzego Zaruby. Świetnym karykaturzystą okazał się dekorator teatralny Andrzej Stopka, który zamieszcza swe portrety w „Dzienniku Literackim”. Stopka jest bardzo swobodny, rzuca na papier oszczędnie rozwiniętą linię, cechując go trafność obserwacji. Jest on zjawiskiem świeżym w zestawieniu ze starszymi i popularnymi karykaturystami — naturalistami. Jerzym Szwarcerem (Jotesem) i Edwardem Glowackim, których niezawodna linia i „murowane” podobieństwo portretu (często bynajmniej nie karykatury) czasem nużą. Ostatnie rysunki Glowackiego, rzucone lżejszą ręką, nie tracą charakterystyczności dla artysty dekoracyjności linii (świetny Fr. Halas).

Czarując lekkie i syntetyczne a karykatury Karola Ferstera (Charlięgo), które nadsyła nam z rzadka z Paryża. Właśnie tam nabrała jego kreska większej lekkości i delikatności, w odróżnieniu od przedwojennej solidnej, nieco trierowskiej. Na marginesie mała uwaga

Stworzona przez Charlięgo w 1945 roku postać Augusta Bęc-Walskiego, dziś synonim reakcyjności i zacofanego filistra, jest przykładem, jak bardzo twórczość rysownika może zespolić się z życiem codziennym i jego słownictwem.

RYSunEK SATYRYCZNY

Satyra jest najbardziej u nas rozwinętym gatunkiem rysunku — karykatury. Rozwój jego idzie po naszej tradycyjnej linii satyry opartej na kalamburze czy akrobatacyce słownej, w przeciwieństwie do wszystkich innych krajów, gdzie rysunek opiera się przede wszystkim na dowcipie sytuacyjnym. Jest to kontynuacja drogi rozwoju „Cyrułika Warszawskiego” i przedwojennych „Szpilek”.

Artystą na miarę europejską jest Mieczysław Piotrowski. Jego śmiałe, energiczne pociągnięcie pędłem sprzed wojny zamieniło się w drażniące, męskie pociągnięcie piórem. Bogate, barokowe wprost rysunki Piotrowskiego zawierają właściwy mu element fantastyki i tajemniczości. Jego ilustracje uczyniły z „Rzezi niewiniątek” Leona Pasternaka małe cacko bibliofilskie. Niestety, rysunki tracą wiele wobec złych warunków graficznych „Szpilek”, z powodu których tracą się zupełnie finezyjne i delikatne, kobiece kreska Maji Berezowskiej. Jej śliczne, roznieglowane rysunekami stanowią zupełnie przeciwieństwo Piotrowskiego. spojrzenie Berezowskiej jest idealistyczne, właściwie to złośliwie rysuje ona tylko starych, zdradzących mężów. Jest niezrównana jako ilustratorka obyczajowych frazesów staropolskich.

Okrępl niejako w swej manierze Kazimierz Grus, który z zamłowaniem uprawia swoisty typ serijnych rysuneków z własnymi dwu- lub czterowierszami. „Zamilkło”, o ile można użyć tego terminu w stosunku do malarza, dwu wybitnych rysowników: Władysław Daszewski i Henryk Tomaszewski. Pierwszy — spokojny i klasyczny, drugi — nerwowy i rozwichrzony, o spojrzeniu impresjonistycznym. Żałujemy i czekamy na nowe!

Na obczyźnie tworzą: Feliks Topolski, który zdobył sobie w An-

gli wielką popularność, oraz Z. Czernański. Obrazy Topolskiego i dlatęgo pryzynają, że najbardziej podobają mi się raczej jego rysunki humorystyczne, subtelnie romantyczne w nastroju, o dyskretnym humorze. I znów, na przeciwnym biegunie umieściliśmy rysunki B. W. Linkego, o atmosferze ciężkiej

Swoisty i urzekający komizm cechuje wielokookie postaci Ha-Gi (Anny Gosławskiej), która z zamiłowaniem wydobywa na światło



rys. M. Berezowska



rys. J. Zaruba

i przyniatającej, przypominające nierealny i niesamowity świat Alfreda Kubina. Linke jest zjawiskiem ciekawym i odosobnionym w polskiej satyrze. Przez połączenie naturalistycznej faktury z nienaturalnym i fantastycznym zestawieniem przedmiotów osiąga on nieco surrealistyczne i frajapackie efekty. Powojenne prace artysty nie osiągnęły jeszcze tej siły wyrazu co jego przedwojenne antyfascystowskie rysunki. Zagadkowe kompozycje satyryczne Henryka Grunwaldza zaciekawiają swą zróżniczkowaną, nowoczesną fakturą. W poszukiwaniach formalnych nie ustaje także Karol Baraniecki, operujący płaską dekoracyjną formą.

RYSunEK HUMORYSTYCZNY

W tej dziedzinie mam do zanotowania niestety tylko kilka nazwisk. Niewielu naszych rysowników poświęca się czystemu humorowi, który zajmuje w „Lżejszym kalibrze” pozycję na szarym końcu.

dziennie nieporozumienia i dowcipne sytuacje dzisiejszego życia. Ciekawym zjawiskiem naszego humoru jest Jan Kamyczek, wywodzący się z syntetycznego rysunku włoskiego. Płaskie i pseudodziecięce rysunki Kamyczka pasują doskonale do jego świetnych absurdalnych dowcipów. Jednym z najciekawszych humorystów jest niewątpliwie Zenon Wasilewski, który ostatnio (niestety, dla rysunku, a na szczęście dla kukielek) poświęcił się całkowicie zagadnieniom filmu kukielkowego. Jakb z drzewa wyrzeczane figury ludzkie tego artysty, żyjące w zagadkowo-romantycznym otoczeniu konstrukcją widzenia podobna do obrazów Makowskiego, to pozycja wyjątkowa nie tylko w polskiej humorystyce. Rozwinał się po wujnie talent Gwidona Miklaszewskiego, który zaciekała trafnością i dowcipem w obserwacji typów powojennych oraz przylepną płaszczyzną rysunku.

NOWI LUDZIE

Po wojnie pojawiło się kilka nowych nazwisk, z których najciekawszy jest Ignacy Witz. Rezygnuje on czasem z komizmu na rzecz bardzo graficznej czarno-białej płaszczyzny i ornamentacyjnej linii (interesujące kompozycje pół-satyryczne wystawiane niedawno na przeglądzie prac grafików warszawskich). Szybko skrytalizował się talent Zbigniewa Lengrena, stylizującego realisty, rysującego cieniaka finezyjną kreseczką. Stanisław Ciechociński nie wnosł nic nowego.

Jest to nader mało, jak na 3 powojenne lata. Przedwojenne „Szpilki” redagowali młodzi ludzie, których głowy pokrywa zwolna lekka łysinka, do dziś nie powstał jeszcze żaden zespół grupujący nowe siły. Nie wiemy, jak będzie wyglądał dalszy rozwój karykatury polskiej, zajmującej poczesne miejsce w dorobku kultury europejskiej. Satyra jest bezspornym narzędziem walki, trzeba zorganizować siłę, która będzie mogła tym narzędziem władać.

Jan Lenica

— Pójdziemy do parku — uspokoiła je pani Janina. — Ja teraz muszę na mszę, potem znów do was zagładnie!

— Nie widziałas pani gdzie Tadek?

— Nie, dziś go jeszcze nie widziałam. Jak mi się nawinie pod rękę, to ci go posłę... Tylko bądź rozsądna Celinko... Niepokoiłz mnie...

— No, co ja takiego zrobiłam? Dzieci, proszę wszystkie miseczki na róg stołu! Robimy dwie wielkie wieże. Kto jest dziś dyżurnym?

Pani Janina wymknęła się na schody. Zobaczywszy nadchodzącego męża, zatrzymała się na chwilę.

— Wszystkie w porządku — powiedziała, wsuwając mu dłoń pod ramię. Słońce zaświeciło im ostro w oczy. Po śniegu posypanym popiołem szła wąską ścieżką do kaplicy.

Tadek Bukowski służył księdzu do mszy. Choć wszyscy już się zebraли, ksiądz czekał chwilę, aż Nahorajscy nadejdą. Pierwsza ławka była pusta. W dwóch pozostałych kleczyły Walercia i Ratajczakowa z córką. Irka odwróciła się ciekawie ku wchodzącym.

Zinnno było w kaplicy, od drzwi otwartych padał biały mroźny oddech ze śniegu. Walercia mruzczała pracowicie, niechętnie odwracając się załuszczone kartki jej, modlitewnika, brunatne i postrzępione po brzegach. Chwilami zniechęta stukala końcami palców o ławkę, aż się sędzia oglądał, lub wtulala je pod pachę.

Irka przypatrywała się matce, której na końcu nosa świeciła się duża kropka wilgoci. — Kapnie, czy nie kapnie — myślała rozdrażniona. Policzyła do dziesiąciu, kropka chwiała się i iskrzyła irytująco. Nie mogła się skupić. Popatrzyła w stronę ołtarza. Tadekowi źle było przyklekać, utykał lekko przenosząc mszał. — Przyjemny chłopak — pomyślała śmiało — szkoda, że już go trzyma dla siebie Celinka. Poczuła

zał, że ją wszyscy wpychają w dzieciectwo, z którego dawno wyrósł. Chciała, by ją wreszcie zaczęli traktować poważnie, żeby się ktoś w niej zakochał. Wyobraziła sobie, jakby to było przyjemnie, aż się uśmiechnęła sennie.

Matka spostrzegłszy, że znowu córka patrzy w okno, gdzie przez szybki widać łysy szczyt Kulaka i wrony wyrojone do słońca, traciła ją kłębkiem.

— Nie gap się, masz się modlić! Jak nie od Boga nie potrzebujesz, to znów pacierz za duszę ojca!

Irka posłusznie uklekla. Deska pod kolanami była nieznośnie twarda.



da i ziąb ciągnął z kamienia. Zaczęła powoli odmawiać pacierze, ale nie mogła wywołać w sobie upragnionego wzruszenia.

Nahorajski trzymał na wysoko podniesionych kolanach duży mszał benedyktyński. Gdy wyruszał na kilkuminutowe zjady prawników do miasta, nieraz znajomi go zapytali,

wali, dlaczego się obwozi z taką księgą, wtedy przyznawał im się z wstydlivym zakopaniem, że ma to przyzwyczajenie jeszcze ze studiów w Belgii, umie się modlić tylko po francusku.

Było dotkliwie zimno. Ksiądz Horbaczewski wyraźnie się spieszył, rozkładał i składał ręce ruchem tak gwałtownym, aż chwiała się żółte płomyki świec. Wydawało się, że chce po prostu rozgrzać się po chłopsku, zabijaniem ręk.

Ciekawym, kto tu naprawdę przyszedł się modlić? — dumał cierpko sędzia. — Walercia i Ratajczakowa przychodzą nie dla Boga, tylko dla księdza, tu go nareszcie dopadły i mają dla siebie, musi je wysłuchać, musi im służyć. Matka przyciągnęła Irkę... Janina z przyzwyczajenia, a ja dla przykładu. Należy się z tym poważnie liczyć... Wiem, że to jest ludziom potrzebne, najlepsza forma agitacji. — Jak sam pan sędzia Nahorajski jest co dzień na mszy, jakże nam nieuczonym wątpić... Podciągnął uważnie nogawki, podłożył sobie chusteczki, przykleknął. Noga mu lekko drżała.

Msza dobiegala końca. Ale ksiądz zamiast odejść, odwrócił się i niespodziewanie ukrywszy dłoń w rękawach zaczął mówić:

— Umilowani bracia i siostry w Chrystusie! Dziwi was pewnie, że chce was jeszcze zatrzymać na chwilę parę, ale przyszło mi w czasie Mszy Świętej na myśl, że garniecie się do tego ołtarza pełni niepokoju i trwogi! W głosach wczorajszych armat słyszeliście groźną zapowiedź, drżycie przed cierpieniem i śmiercią...

Dzieci wysypywały się właśnie na podwórzu z krzykiem i śmiechami, jednak przechodząc koło kaplicy ciszy, niektóre dochodziły bliżej, przyklekały na progu i zęgały się poważnie.

— Nie możemy powstrzymać wydarzeń, losy człowiecze nie od nas zależą... Jesteśmy bezbronni między



rys. M. Piotrowski

ścierającymi się maszynami, w powietrzu pełnym zbudzonego żelaza na ziemi porastającej ogniem! Ale spojrzycie na te dzieci... wyciągnął rękę ku drzwiom otwartym — idą wesole i ufne... Przecież nikt z nas nie może ich przed niebezpieczeństwem zastąpić, ani uszpec... One utraciły rodziców, czule ramiona ich nie przyciągną... A jednak są pod najlepszą opieką. Czują nad nimi Ojciec, zawisa nad ich głowami Ręka pełna dobroci i miłosierdzia! Wyprowadziła już je raz z nocy ognia i nienawiści, bądźcie pewni, teraz uchowa je bezpiecznie!

— Wszystko cokolwiek mogły zrobić dla nich człowiek, nawiąże, gdyby ofiarował im siebie, jest niczym wobec tego, co daje im Ojciec. Przypatrzcie się tej Ręce! Bolesna, rozdarta gwoździem, rozumiejąca cierpienie. Czyż taka Ręka może krzywdzić?

— Wszystko co nas spotyka, dzieje się dla naszego dobra. Często wydaje się, że wydziera nam los to, co mieliśmy najcenniejszego, najbliższego sercu. Zaufajmy tej Ręce, odbiera tylko to, co mogłoby nam przysłańcać cel ostateczny, daje wszystko, co będzie nam na tej drodze niezbędne.

Sędzia zauważył, że Tadeusz stojący za księdzem skinął kilka razy głową i znacząco poruszył wargami, potem skryty w cieniu ścisnął obie ręce i potrząsnął nimi powitalnie.

Sędzia odwrócił się ostrożnie. W drzwiach stała Celinka i ponad głowami ostatnich dzieci wskazywała Tadeuszowi, że idzie w górę, do parku. Przyzywała go ręką.

Ksiądz musiał to zauważyć, bo wybuchnął patetycznie:

— Ale biada zachwałej młodości, która wybiera ciemność i jej sprawy, przesiaduje na podstryszu grzechu...

łowych rozpraw, umiał się zamknąć w sobie, mimo twarzy skupionej i pozorów uwagi nie go całe otoczenie nie obchodziło.

Dalekie krakanie wron wpadało do kaplicy, jakby ktoś suche gałązki kruszył.



Dopiero gdy żona wstała, spostrzegł, że ksiądz już jest we wnetrze zastępującej zakrzywionej i Tadeusz pomaga mu zdjąć ornat.

Wyszli na słońce. Sędzia zatarł ręce, palce mu się lekko zaróżowiły. Chuchnął w paznokcie. Pomachał nimi końce uszu.

— Zmarzłem — powiedział. Upewnij się, że nikt ich nie słyszy szepnął żonie: — Uważam, że ten rodzaj nauk jest nie tylko niepedagogiczny, ale jest po prostu nieaktualny, bo co mnie obchodzi, że Celka siedziała wczoraj na schodach z Tadekiem? Jak chce ją skarcić, niech to robi w cztery oczy, a nie z

(Dalszy ciąg nastąpi)

STANISŁAW SZENIC

Stara Warszawa na trasie W-Z

Ołwice miast ulega stałym przekształceniom i zmianom. Zazwyczaj dzieje się to w dwóch krancowych przeciwnych przyczyn. Albo miasta bywają odbudowywane wskutek zniszczeń wojennych czy też częstych w dawnych wiekach pożarów, albo w okresie spokoju i dobrobytu ludność miasta tak wzrasta, że konieczne jest zużywanie hamujących rozwój budowli.

Zniszczenie zabudowań kościelnych i klasztorów Panien Bernardynek nastąpiło w 1843 roku w czasach głębokiego pokoju, gdy trzeba było na gwałt szukać wygodnej drogi do Pragi. Strumy dojazd przez ulicę Bednarską i Marynarską okazały się zbyt uciążliwe dla przedko wzrastającego miasta. Klasztor Panien Bernardynek z góry przez trzy wieki zajmował co dzisiejszy plac między Zamkiem Królewskim a kościołem Bernardynów, właśnie u późniejszego wylotu Nowego Zjazdu na Plac Zamkowy. Założycielka klasztoru Panien Bernardynek, pierwszego kobiecego klasztoru w Warszawie, była Elżbieta Gołyńska czy też Gołńska, panna wielkiej urody, która około 1542 roku z nieznanych przyczyn szukała odosobnienia w murach klasztornych. Nabyła według jednych, a wydzierżawiła według innych pod murami Warszawy w pobliżu Zamku Królewskiego drewniany domeczek i spędzała w nim czas na modlitwie. Wkrótce przyłączyła się do niej Cecylia Karczewska i dwie mieszkanki Rawy, Apollonia i Anna. W 1546 roku wniosły podanie do ówczesnego króla, wojewodę Felicjana Costeno, prowincjała OO. Bernardynów prowincji Małopolskiej, o przyjęcie ich pod poświadczenie zakonne i zezwolenie na pędzenie życia według trzeciej reguły św. Franciszka.

Prowincjał ojciec Costeno nie miał zaufania do pić: słabej i podanie Elżbiety Gołyńskiej wzbraniał się przychylnie zatwierdzić. Niezrażone kandydatki zakonne poszukiwały mężnych protektorów, gdyż na skutek licznych instancji poważniejszych, a przedniejszych mędzów" otrzymując zezwolenie na prowadzenie życia zakonnego, a w 1554 roku konstytucją zakonną jak zanotowano w kronice: „aby to nowe piaszki głębokie kurzenie pobożności zapuściły i pociętniej w regule ścisłej obserwowanej" wzrastały".

Na wybudowanie własnego klasztoru nie starczyło na razie pieniądze, więc na modlitwy zebrały się nowe mniszki w klućce pobliskiego kościoła Bernardynów, z czasem znalazły gorliwego protektora w osobie kanonika warszawskiego księdza Daniela Zaremby, który u króla Zygmunta Starego i jego małżonki Bony wyrobił im przywilej na cztery beczki soli. W tym też czasie wstąpiła do klasztoru jakaś tajemnicza wojewodzianka której nazwiska kronika nie ujawnia, lecz notuje, że cnoć była małego wzrostu, wniosła klasztorowi wiele ziemi od księcia Mroźwickich między Zamkiem Królewskim i kościołem Bernardynów. Na tych placach mieszczenie warszawscy budowali liczne domki drewniane i płacki czynsz Pannom Bernardynkom. W dalszym ciągu ścisła klućtura nie bwa przestrzegana, mniszki otwierały szkołę dla córek mieszczan warszawskich, którzy im chętnie powierzyli swe dzieci. Wśród uczennic, oddanych do klasztoru była siostra urodziła Barbara Gizańska, córka znanego warszawskiego rodziwny patryjczykowskiej. Zachwycony jej wdziękiami pokojowej królewskiej Mikołaj Mniszek przekupił chodzącego z towarami do klasztoru kupca Egdiusza i w przebraaniu mniszki pod nazwiskiem O. paska wkładł się do Gizańki. Uwiodł piękną Basię i podstał ją następnie królowi Zygmuntom Augustowi, który z niej zrobił swoję „sokolatą", jak to król zwykły był nazywać swoje kochanki. Warszawa trzęsła się z burzenia.

Prowincjał bernardynski ksiądz Benedykt Gasiorowski zażądał w 1595 roku poddania się Panien Bernardynek ścisłej regule w myśl postanowień Śboru Trydenckiego i rozporządzeń papieża Piusa V. Regulę ścisłą przyjęło dziewięć mniszek spośród kilkunastu. Zaczęła ona obowiązywać od roku 1597. Doczekała się tej chwili jeszcze założycielka Elżbieta Gołyńska, zmarła w roku następnym.

Klasztor otoczyli opieką moiżni protektorzy. Król Zygmunt II ofiarował 2.000 dukatów a starsza warszawski i późniejszy kasztelan warszawski Stanisław Warszycki okragła sumę 10.000 złotych polskich. Panny Bernardynki mogły więc przystąpić do budowy murowanego klasztoru w miejscu drewnianego oraz do budowy kościoła. W 1609 roku zaczęto wznosić obie budowle według planu Mikołaja Duchnowskiego, starszego budowniczego królewskiego. Budowę skończono w 1617 roku. Kościół pod wezwaniem św. Michała, później ogólnie zwany kościołem św. Kiary, miał 54 łokcie długości, 21 — szerokości i 20 — wysokości, front w stylu późnego renesansu włoskiego, oraz pięciopiętrową, kwadratową wieżę

z pękającym, przysadzistym dachem, czołem skierowaną do Marynarsztatu. Naw bocznych kościół nie posiadał, ołtarzy było dziewięć. Klasztor był jednopiętrowy dachówką kryty, miał 94 łokcie długości, 42 — szerokości i 34 — wysokości. Mogli pomieścić 26 zakonnic. Stał równoległe do boku Zamku Królewskiego i tworzył z nim ulicę Grodzką. Całość zabudowań nadawała charakterystyczny wygląd pięciu charakterystycznym, poważnie go zwięzającym.

Nowy dobroczyńca klasztoru w osobie wojewody mazowieckiego Adama Kosobudzkiego zapisał w 1629 roku klasztorowi wieś Wawrzyszew, mającą 870 morgów ziemi i mającą dać utrzymanie 40-u mniszkom. Znaczenie klasztoru zaczęło wzrastać, wśród zakonnic spotyka się wielkie nazwiska. Habit przywdzwały Katarzyna Za-

siały się tulać, a gdy wróciły do swego klasztoru, niebawem w 1819 r. za arcybiskupstwa księdza Malczewskiego klasztor ich przeniesiono do Przasnysza. Majątek Wawrzyszew został jeszcze w 1818 r. przydzielony nowo-założonemu Instytutowi Agronomiczemu w Marymoncie, a Pannom Bernardynkom przynano rekompensatę w wysokości 6.400 z.p. roczne. Na wniosek ks. Stanisława Staszica Rada Administracyjna decyzją z 16 listopada 1819 roku przydzieliła klasztor nowoutworzonemu Konserwatorium Muzycznemu, a kościół obróciła na salę koncertową. Konserwatorium muzyczne mieściło się w gmachu klasztornym pod dyrekcją Józefa Elsnera do 1831 roku. Pobierał w nim nauki Fryderyk Chopin.

Po powstaniu 1831 roku Konserwatorium Muzyczne zostało zam-



Józef Ryszkiewicz (ojciec)

Nowy Zjazd

łuska, siostra biskupa płockiego, oraz Pacyencya Zamoyska.

Król Władysław IV w 1644 roku stał u ojcu swemu pomnik, słynną i drogą każdemu warszawianinowi Kolumną Zyguntowską. Pod kolumną nabył place od Panien Bernardynek, na których stały drewniane domki, wydzierżawiane mieszczanom warszawskim, popularnie zwane „domami panienskiemi". Zupelnie niespodziewanie sprzeciwił się tej transakcji nuncjusz papieski ks. Philonardus, między królem a nim były napięte stosunki, Władysław IV powierzał bowiem nuncjusza, że z jego to poduszce" papież przy kreowaniu nowych kardynałów nie uwzględnił żadnego z kandydatów królewskich. Rozdrażniony król według pamiętnkarza S. A. Radziwiła „wartę do nuncjusza gospody przystawil, aby nikomu przystępu do niego nie było". Nuncjusz sądził, że może teraz znaleźć okazję odwzajemnienia się królowi i oświadczył, że nikomu nie wolno własności duchownej alienować ani sprzedawać bez pozwolenia władzy kościelnej. Zgromił zakonnicę i kławią zagroził osobom, które by poważyły się owe domki burzyć. Warszawa miała więc nową sensację, a biedne zakonnicę znalazły się w rozterce sumienia. Król nie przetrzaszył się jednak wystąpieniem nuncjusza i domki zburzył, nuncjusz zaś według cytowanego pamiętnkarza „zawstydzony nie wskazać nie mogąc, przeproszać musiał króla".

Klasztor uciepiał dużo w czasach najazdu szwedzkiego, gdy w nim Szwedzi stanęli załoga i bronili się zapamiętale przy zdobyciu w Warszawie. Atak polski na Zamek Królewski, obsadzony przez Szwedów, szedł od strony kościoła Bernardynów. W XVIII-wym wieku kościół Panien Bernardynek, położony przy przynależnej ulicy, należał wraz z kościołem ojców Bernardynów do najmłodniejszych kościołów Warszawy. Kroniki wspominają o natłoku wytwornej publiczności na wspaniałe urządy Grób Wielkanocny, przy którym m'odzież trzymała straż w strojach rzymskich, a zakonnicę pięknymi śpiewały lamentacje w języku polskim. Klasztor zajmował dużo miejsca za ogrodem, ciągnącym się aż do Wisły, otoczony był wysokim murem i głęboką fosą, co nadawało mu wygląd twierdzy. Zakonnicę w dalszym ciągu prowadziły szkoły, w której uczono języka polskiego i niemieckiego, historii krajowej, arytmetyki, szycia i haftowania. W XVIII-wym wieku wynikł spór graniczny o Wawrzyszew z księciem Czartoryskim z Powazek, powołano sąd polubowny, który „sztukę znaczną gruntu, wprawdzie nieurodzajnego, od Wawrzyszewa odjął i do Powazek przyłączył" oraz polecił postawić nowe kopce graniczne.

Ciężkie czasy powstały dla klasztoru za Księstwa Warszawskiego, gdy w 1809 roku zajęto klasztor pod arsenał. Panny Bernardynki musiały szukać schronienia w Marywili u Panien Kanonicek, co wywolało skargi Kanonicek, że mogłyby mieć piękny dochód ze stancji, zajętej przez Bernardynki. Wtedy to Panny Brygidki, również wyrugowane ze swego klasztoru przy ul. Długiej i Nalewki, ofiarowały się odstąpić część swego gmachu Pannom Bernardynkom, gdyby tylko władze im gmach ich klasztoru zwrócić zechciały. Arcybiskup gnieźnieński Raczyński gorąco popierał tę prośbę, lecz władze wojskowe, ulegając ówczesnym prądom antyreligijnym, klasztorów zwrócić nie chcieli. Panny Bernardynki długo jeszcze mu-

kniete a gmach klasztoru zajęto pod koszary. Koszary zostały wkrótce przeniesione na inne miejsce i gmach pozostał pustym. Wynajmowano go więc na różne dozwolone imprezy. W 1839 roku niejaki Jordaki Kuparenko odbywał w nim przedstawienia swego „theatre pittoresque". W następnym roku ucieśli w gmachu poklaskowanym swoją menażerie Francuz Tournier. Najwspanialszym okazał menażerie był jakiś obryzmiony słon, którego kornak zmarł nagle w Warszawie. Słon po jego śmierci zaczął szaleć, zerwał łańcuch żelazny, do którego był przytomowany. Drzwi wejściowe, dawne kościelne drzwi główne, zatarasowane belkami, a sprytny francuski przedsięwzięcia najwidoczniej w celach reklamowy tak przesadził niebezpieczeństwo, grożące warszawianom, że sprowadzono dwie armaty i postawiono je przed bramą, aby ewentualnie skartaczować rozszalałe zwierzę. Niebezpieczeństwo nie było jednak tak groźne, gdyż Tournier za dobrą opłatą puszczał widzów na chór. Słonia za pomocą pięciu, zrzuconej z chóru, ubezwidłono i lekarze stwierdzili u biednego zwierzęcia zapalenie szczęki i owrozdzenie zębów. Według jednych relacji został słon zastrelony z chóru kościelnego, według innych wspompano mu do żołądka kilka wiaderek zatrutej wody. Była to ostatnia sensacja, jaką były gmach klasztoru dostarczyć Warszawie.

W 1843 roku przystąpiono do rozbioru kościoła i klasztoru Panien Bernardynek. Moment ten spopularyzowało na licznych obrazach szeregi malarzy warszawskich, a wód Marcina Zalewski, Seydlitz, Wł. Podkowiński i Balukiewicz. Po dokonanej rozbiorce można było przystąpić do budowania pożądanego ulicy z łagodnym spadkiem w kierunku Pragi. Dnia 1 kwietnia 1844 r. rozpoczęto budowę wiaduktu według planów inżyniera Feliksa Pancera, inspektora Zarządu Komunikacji, byłego profesora Szkoły Aplikacyjnej. Budowa nastrożcza szereg trudności, gdyż grunt był częściowo nasypowy, znajdowano nawalone sztuki drzewa i kamienie, nad którymi była faszyna. Zużyto cegły nowej 2.300.000 sztuk, starej 1.950.000 sztuk, wapna 9.800 korecy, kamieni ciosanych 3.700 stóp sześciennych, ogół nasypu objął 17.500 sążni sześciennych. Koszty budowy, która trwała dwa i pół roku, wyniosły 135.000 rubli srebrnych, do czego doszło jeszcze 18.000 rubli srebrnych za wykup placu. 24 października 1846 roku nastąpiło otwarcie Nowego Zjazdu na publiczny użytek.

W trzynaście lat później, w 1859 roku, również w dniu 1 kwietnia, przystąpiono do budowy mostu żelaznego na przedłużeniu Zjazdu według planu generała Kierbedzia, który się wstawił zbudowaniem mostu Mikołajewskiego na Nowie. Plan gen. Kierbedzia okazały się lepsze i tańsze od planów Anglika inżyniera Vingnols. Budowa trwała pięć i pół lat, koszty wyniosły 2.720.000 rubli, pozostały o 280.000 rubli poniżej kosztorysu. Poświęcenie mostu nastąpiło 22 listopada 1864 r.

Nowy Zjazd stanowił długo dumę warszawaków. Warszawski malarz Józef Ryszkiewicz ojciec, uczeń Wojciecha Gersona i Akademii Monachijskiej, odznaczony medalem srebrnym na wystawach we Lwowie i San Francisco w 1894 r., namalował obraz pod tytułem „Nowy Zjazd podczas jesiennego słotnego zmroku".

Zamieszczamy reprodukcję tego sztuchu, pełnego uroku.

Stanisław Szenic

Teatr • Teatr • Teatr • Teatr • Teatr • KRASNOWIECKI I INNI

Występ gościnny „Państwowe- go Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego" w Warszawie. — „Jęgor Bułyczew i inni", sztuka w trzech aktach Maksyma Gorkija. Przekład: St. R. Dobrowolski i St. Bruz. Reżyseria: Władysław Krasnowiecki. Dekoracje: Jerzy Szeski.

Teatr Śląski przyjechał do Warszawy, aby trzy razy zagrać w „Teatrze Polskim" „Jęgora Bułyczowa". Na te trzy dni „Inspektor przyszedł" z „Polskiego" wybrał się do Plocka, który skorzystał z tego, że Katowice znają „Inspektora" a „Teatrowi Polskiemu" było trudno ruszyć się z innym spektaklem: „Cyda" i „Hamlet" i „Penelopa" nie nadają się na wizyty, głównie z uwagi na ich rozbudowaną stronę dekoracyjną. Zatem Plock zyskał, natomiast w Katowicach ma te trzy dni powstała luka. Przez to jeszcze droższe koszty całej imprezy. Tym kosztowniejszej, że przedstawienia warszawskie miały przedwzięnie charakter bezpłatnych pokazów dla zaproszonych gości.

Kosztowna bo kosztowna, trzeba jednak stwierdzić, że impreza była niezwykle udaną. Zresztą sama zasada wymiennych przedstawień — której się tutaj nie udało zrealizować akuratnie — jest sensowna. Pozwala poszczególnym miastom ocenić własne teatry przez porównanie z cudzymi. Zmusza ośrodki teatralne do intensywniejszej pracy, a przynajmniej te, które chcą i mogą się zdobyć na wymienne przedstawienia. Sądzą nawet, że po kilku latach wstępnym można by system przedstawień wymiennych rozbudować i stworzyć coś w rodzaju festiwałów teatralnych. Co roku w innym mieście. Teatry do festiwału przygotowałyby się przez cały sezon, walcząc o palmę pierwszeństwa jak w zeszlrocznym konkursie szekspirowskim. Dał on Ministerstwu Kultury i Sztuki ogromną sumę doświadczeń. Szkoła byłaby, gdyby te doświadczenia miały pójść na marne. Związczą, że naturalnym biegiem rzeczy w naszym kraju za kilka lat znowu zachce się jakiejś instytucji czy grupie osób podobnego konkursu. I trzeba będzie zaczynać wszystko od początku i parzyć się na gorącym.

Po premierze katowickiej „Bułyczowa" pisał u nas o tym spektaklu

Dziesiąt Herowski (nr 248). Mogę więc tylko do jego recenzji dorzucić kilka zdań. Rzeczywiście spektakl udał się Władysławowi Krasnowieckiemu znakomicie. Ale co też to za sztuka! Genialna! Bogata Dech piera od poczucia sceny z jakim została napisana, od świeżości z jaką charakteryzowała postaci od ciężaru gatunkowego słowa. Gorkij to nie dramatopisarz, to wywiel. Trudno o jego dialogach mówić jak o dialogach, bo w pojęciu „dialogu" tkwi pojęcie jakas młsterność, a w słowie „Bułyczowa" nie ma młsterności, tak jak jej nie ma w Nargarze. Jest siła, pełnia skala! Półplotkarska historia o starym dżwarku, który w centrum intrygi i brudów rodzinnych, w centrum przeciwnych zachodów i zabiegów umiera na raka — opowiedziana została ze wspaniałym rozmachem. W umierającym Bułyczewie bogacz, jest jeszcze wiele siły, jest w nim gwałtowna żądza życia, ale jest w nim przede wszystkim jego choroba. Ona go toczy. Najmniejszych kreśl Gorkij nie stawia w swojej sztuce, znaku równania pomiędzy Bułyczewem a jakąś określonego typu Rosją, jakaś wiadomego typu klasą ludzi w tym kraju. A jednak i przedśmierna moc Bułyczowa, jego pozorna żywotność, jego choroba i jego zgon urastają powoli, na milecząco w symbol. Cóż za piarsz! Kiedy Bułyczew pada koniec końcem na ziemię, z oknami przechodzącej rewolucyjny pochod. Ku temu pochodowi rwa się oczy ukochanej córki Bułyczowa, tak że nie widać ona śmierci; w ogóle nie widać innego poza tym widowiskiem. Zdałoby się, że taka scena siedzi po dziurki od nosa w kiczu. Nie podobne! Ludzie nabojętniejsi w stosunku do czerwonych sztandarów patrzy na nie w tym momencie z wypiekami na policzkach. Tak artystyczna i ludzka wymowa ma w sobie ten moment. Ale żeby jako piarsz wyjść z niego zwycięsko, rzeczywicie trzeba być wielkim.

I móg pisać dla świata, który nie oczekuje od pisarza samego tylko serduszka, dla świata, który nie jest od stóp do głów złożony z samych miejsc wrażliwych i wymagających specjalnych względów. Tak jak nasz rodzimy światek! Gorkij w swoim dramacie wali po ludziach śmiało, żadnych wrażliwo-

ści nie oszczędza. Takiej sztuki jak jego „Bułyczew" nie można by nam pokazać, gdyby dotyczyła spraw polskich. Ilez bo uczu" obraz! Jakiego duchownego pokazuje jakie zakonnicę, jakich oficerów na jakie aluzje erotyczne się puszcza, i to kogoś dotyczące Ajaj! A jakich to rewolucjonistów przedstawia przyzwala aych, by ich znajome panienki podkradały na cieie partytach rewolucjonistów" młtję jakich kapryśnych i mizernych. Ale na szczęście duchowni są tu prawosławni, a działacze rewolucyjni rosyjscy, inaczej by ra nich oko polskie nie spoczyło. To delikatne oczko, delikatne niezależnie od tego czy je natura umieściła w głowie urzędnika, polityka czy też przeciętnego w'ida. Zawsze nadto wrażliwe, by móc znieść wiook takiego człowieka, jakim go Pan Bóg stworzył.

Sztukę wyreżyserowano i zagrano znakomicie, czasami tylko niepotrzebnie pozwalając się jej otrzeć o groteskę. Kreacja Władysława Krasnowieckiego (samego Bułyczowa) pyszna. Wysokiej klasy! Warta studium, które by poddało analizie tę ciekawą rolę, a przede wszystkim wyborne uchwycyone proporcje pomiędzy chorobowym stanem zmęczenia i nagłymi wyskokami pod naciśkiem przypływu siły czy pod wpływem irytacji. Jego żona, Ksenia Haliny Cieszkowskiej doskonała. Dawno nie widziałem na scenie takiej z krwi i kości idiotki, której było by mi do tego stopnia żal, tym więcej, że się z nią śmiałem. Nieślubna kańcista, pełna uroku Aleksandrę z nerwem zagrała Irena Krasnowiecka, Nielatwo było by w prawdziwszy sposób oddać charakter tej trudnej dziewczyny. Oto dopiero trzy nazwiska z afizy. A inni! Cóż zrobić z reszta? Z Ireną Bielemin, z Janiną Jablonowska, Klementyną Zastrzężynską, Felcem, Przebińskim Szepełkowskim? Należało by o nich opowiadać po kolei. Suma pochwał wedy by jednak rosła i rosła, a już nie chce więcej zasmarkać czytelników „Odrodzenia", ponieważ tylko niewielu z nich mogło na własne oko „Bułyczowa" a droga do Katowic i kosztowna i daleka.

Tadeusz Breza

„Romans z Ojczyzną"

Miejskie Teatry w Warszawie. — „Romans z Ojczyzną", sceny dramatyczne w 3 aktach Tadeusza Łopalewskiego. Inscenizacja Eugeniusz Poreda. Muzyka: F. Rybiński.

Tadeusz Łopalewski, poeta — autor kilku ładnych powieści prowincjonalnych, działacz związkowy, laureat nagrody im. Filomatów, który już raz otarł się o scenę w Reducie, spróbował dać sztuki o Maurycum Mochackim. Z biografii pisarza i powstańca wybrał kilka epizodów, po inne sięgnął do własnej wyobraźni, żeby nam w siedmiu krzyżowych momentach ukazać dzieje zewnętrzne i wewnętrzne jednego z najgenialniejszych polskich rewolucjonistów.

Pomyśl wspaniały; tak by się przynajmniej zdawało. Temat pociągający, ale niełatwy! Mochacki to trybun, wielki rozpalcacz tłumów. Łopalewski zaś postanowił napisać sztukę kameralną, bez użycia mas, tym samym usunąć z Mochackiego jego najcześniejsze tło. Bądźmy jednak sprawiedliwi! Czyż mógł postąpić inaczej? Scena znosi trybun, cóż mówić o przemowieniach. Ślad kapitalna trudność przy prezentowaniu na scenie wielkich mówców czy kaznodziejów. Niemniej przeto „sceny dramatyczne" Łopalewskiego muszą się obywać bez najdramatyczniejszych epizodów z życia Mochackiego. Bez jego wielkiego wybuchu po nocy listopadowej, na skutek którego powstał zbrojny klub rewolucyjny, bez jego wielkiej improwizacji „w duchu jakobinśkim, w formie rubasznej i gwałtownej" — jak określa Barzykowski — na skutek której rozpadł się pierwszy rząd Lubецkiego, bez jego wszystkich innych elektryzujących atmosferę wystąpień.

Był znakomitym pisarzem ale znowu wiemy, jak trudno pokazać na scenie pisarza. Związczą autentycznego. Legenda wielkością obowiązuje. Mniej więcej tak samo jak reputacja trybuna. W teatrze po każdej odzywe takiego człowieka spoglądamy na siebie najwięcej zażenowani. W zestawieniu z jego sławą, to co mówi, wydaje nam się mde. Nie mam wrażeń, aby Łopalewski nie zdawał sobie sprawy, że swoich trudności. Z prawdziwych przemówień Mochackiego raz po raz podaje jakąś próbkę, cytuje go. W wyjątkach autentycznych. Niedawno miałem w ręku monografię Sliwińskiego o Mochackim i przyjemną, króciutką, świeżo wydaną prawkę p. Janiny Kulczyckiej-Sa-

loni, więc świadom jestem misternej i erudycyjnej mozaiki Łopalewskiego. Sceny jednak ani zębia, ani grzeją podobno legitymacje. Na nic autentyki! Ale z punktu widzenia walki, którą przeprowadził autor próbując ratować swego bohatera, uznać należy, że jego wysiłek był dramatyczny. I tylko z tego punktu widzenia sceny, które napisał, są dramatyczne.

Jeszcze jedna bieda: Mochacki prorok i w'ojonar, który, gdyby sobie nie zyskał niesmiertelności piórem, pozyskałby ją sobie idealnie zaawansowanymi zarzem, i trzeźwymi, i rewolucyjnymi, przeciwnym uchwyceniem tej prawdy, że rewolucja poza wszystkim jest wiedza, był słabym technikiem politycznym. Zie oblażał ponuszenia. Należał do tego rodzaju teoretyków, którzy najczęściej przegrywają w każdym praktycznym spotkaniu i w każdej konkretnej rozgrywce. Do kogo? Do zawodowców. Do Lubецkiego, do Czartoryskiego, do Ostrowskiego! Do kogo jeszcze? Do wojskowych, których drażnił i którzy w n m nie czuli człowieka honoru. Zatem wielki w chwilach przemowień, najczęściej bywał nieporadny w indywidualnych spotkaniach. Jak u Łopalewskiego. Wbrew woli autora oczywiście i wbrew interesom bohatera. Wszyscy go kłiwają. Cóż z tego, że z punktu widzenia przyszłości Mochacki ma pełną rację. Sceny to nie upaja. Scena nie ma ani akustyki, ani respektu dla podobnych słusności. Jak zresztą, Bogiem a prawdą, rzeczywistość! W polityce bowiem nie jest rzeczą istotną mieć rację, ale wywalczyć dla niej miejsce, przekonąć do niej ludzi. Scena w podobnych sytuacjach raczej „wypukła całą nieumiejętność postawiana na swoim niżeli abstrakcyjną słusność. Łopalewski czuje to. Ratuje swego bohatera. Z momentu na moment wzmacnia dawkę patosu. Zachęca nas do teorii Mochackiego, przed którymi tylko chylić czoła, najslusniejszych w świecie, niestety, nie wypływających z akcji. Zapędzą Mochackiego w dyskusje. Niekoczące się. Chłodne. Zie udrumatyzowane. A szkoda! Są w takim dobrym duchu! Takie szlachetne i takie rewolucyjne. Z pewnością interesujące w lekturze, może nawet nadające się do czytania na głos na akadem'ach. Nie na scenę! Z całego „Romansu" jeden tylko obraz był teatralny. U Lubецkiego. Ten Mochacki szukający schronienia u człowieka, na którego niedawno prowadził sfanatyzowany tłum, to może nie najlepszy sposób rekomendowania bohatera, ale to był niewątpliwie

teatr. Ten jeden obraz Jeden na siedem!

W roli Mochackiego wystąpił Bolesław Kostorzński. Jak na mówcę za często się sypał. Ale trzeba go rozgrzeszyć: nie schodził ze sceny i wciąż mówił; wciąż to samo i to samo, w rewolucyjne kółko. Miał jednak momenty i szlachetne i ludzkie, piękny gest, dobre warunki. Pięknie i patetycznie przedstawiał się Piotr Wysocki Antego Cezarewicza. Sympatia dla Podcyszynskiego, zwłaszcza w pierwszym akcie, impetynicznie zdobywał Konrad Morawski. Doskonałym Lubeckim był Władysław Osto — Suki! Natomiast Szepezan Baczyński nie przekonał nas o konieczności fatygowania do tej sprawy samego Adama Mickiewicza. W epizodycznych rolach — pełna subtelności T. Koroniewicz jako matka Maurycego i młodzieniec Kazimierz Sędzimir jako jego brat.

Dekoracje idealne do poematu Woltera na temat trzęsienia ziemi, m'imo całej szpatyneczności do przyjęcia. Reżyseria również. Trochę za gwałtowna w epizodach i za flegmatyczna w tektwie.

Tadeusz Breza

W poprzednim 19(180) numerze „Odrodzenia" z dnia 9 maja 1948 r.: Maksym Gorkij: Odpowiedź intelektualistom. — Emmanuel Mounier: Wojownicy nadziei. — Ksawery Pruszyński: Ziemia Świętego Justa. — Edmund Osmańczyk: Berlin — wyropa nieznaną — Piotr Pawlenko: Rozmowa o urzędniku. — Stanisław Gogulski: Drobiazgi francuskie. — Wojciech Żukrowski: Ręka ojca. — Henryk Korotyński: Język prasy na cenzurowanym. — Anna Kowalska-Wdowa. — Andrzej Fiworczycki: Rozmowa z Wacławem Rzeżaczem. — Zygmunt Mycielski: Notatnik muzyczny. XXVIII koncert symfoniczny. — Anna Z. Linke: Nowe wystawy plastyków. — Józef Maśliski: „Gdy m nicós" swoją wypowiedział". — kjw: Szkoła krytyków, wydział proroków: Apel do wielbłądów. — Beletrystyka: „Zagubione klucze" Gustawa Morcina; — Julian Krzyżanowski: Korespondencja. Niech żyją sprostowania. — Camera obscura. — 13 ilustracji. — 3 stron-

MARIA RZEUSKA

Czy mieliśmy poetów w XVIII wieku?

Takie oto, dziwne na pozór pytanie postawił sobie do rozważania prof. Wacław Borowy w swej nowej, bardzo pięknej książce "Pięknej z wielu względów i nawet wówczas, gdy nie wszystkie wyrażone w niej przekonania będziemy mogli podzielić i przyjąć. Pytanie dziwne, bo czyż da się przypisać, że „książkę poetów” Krasicki, a Trembecki, Książnik i Karpiński poetai nie byli? Dziwność tylko pozorną, zważywszy bowiem, że nie wiadomo dotychczas, co to jest prawdziwa poezja i kto to jest poeta, rzeczywiście poeta! Pytanie nie bez powodu też skierowane właśnie do epoki Stanisława Augusta, chociaż nie omijając czasów saskich i początków XIX stulecia. Naturalnie — sprawą centralną stał się Krasicki. Sprawy te prof. Borowy, zdaniem moim, wygrał jako badacz, przegrał jako teoretyk, nie sprzedajmy jednak dalszego ciągu.

Jedno podkreślić: słowo „poezja” oznacza tu rodzaj zjawisk literackich, posiadających stałą, niezależną od zmienności czasów i prądów wartość artystyczną — które do dziś wzruszają i budzą zainteresowanie. Poetyckie i poezyczne w właściwym sensie mogą być zatem nie tylko wiersze, poezja, ale wszystkie inne rodzaje: powieść, dramat, byle miały naczelną cechę wartości niezmiennej i trwałe. Wartości niezmiennej i trwałe! Gdzie ona jest, w czym tkwi, na czym polega, jak ją wyśledzić i rozpoznać?

Przedziwna zaprawdę książka! Programowo przeciwstawiająca się teozom poprzedników, w wielkiej mierze burząca nawet ich stanowiska i poglądy, a w podstawach, w teoretycznych punktach wyjścia oparta na terminach polskiej poezji wieku XVIII i francuskiej XVII, sięgających zresztą starożytności greckiej i rzymskiej. Bo to, co według prof. Borowego decyduje, czy dany utwór jest czy nie jest poezją, to zawarty w nim ładunek wzruszenia i wyobraźni, znane z tytułu poetyki osiemnastowiecznej pojęcie „czucia” oraz „imaginacji”. Treść tych pojęć, gdy dojdą do realizacji w dziele, są wieczną wartością, rzucającą poetycki blask, rozświecającą je od wnętrza, promieniującą energią i zawsze i niezmiennie musi oddziaływać na każdego czytelnika. W tym rzecz jednak, że twórczość literacka XVIII w. nie imaginacji i czucia dawała się powodować w praktyce, ale obywatelu, kalkulującemu rozumu i dydaktyzmu, moralizatorstwu, przepisom, życie naśladowczej. Przerost intelektualizmu wypierał pierwsiemi emocjami. Powstały utwory o kształcie wprawdzie literackim, nieraz kunstownym i w ekspresji mistrzowskiej, lecz bez żaru i polotu, zimne, wyważone i wymierzone, niepoetyckie. Porozom martwej formy dali się uwinąć późniejsi badacze. Przenicili zewnętrzną stronę dzieł, skupili uwagę na ich roli narodowo kulturalnej, ideowo społecznej, politycznej. W rezultacie zatracali się piętna indywidualne utworów, badano je bowiem z punktu widzenia tendencji i dążeń, właściwych całej epoce. „Ubrał się... schematyczny obraz pisarza stanisławskiego w ogóle”. Prof. Borowy przeciwstawia się takiemu ujęciu. „Książka niniejsza” — pisze — „nie trzeźwi literatury XVIII wieku ani wysokości położenia Polski w tej epoce, ani wysokości dzieł w innych literaturach współczesnych, ani wielkością tego, co było dawniej lub miało być później w literaturze polskiej. Bierze ją taką, jaka jest, w jej historycznym uwarunkowaniu, i przeglądając się jej dziełom, pyta, czy jest w nich coś żywego, co zdolne jest i dzisiaj przemówić do uczucia i wyobraźni”.

Przyjrzyjmy się skutkom tak sformułowanych teoretycznych zasad. Jak z kontrolnego przeglądu wyzły poszczególne twórcy? Mogliśmy zresztą z góry przewidzieć, że nastąpi zasadnicze przewrót — wanie in minus postaci, dzieł i pierwiastków cenionych dotychczas wysoko, wypuklenie natomiast pomijanych, zapoznanych lub lekceważonych zgoda. Tak też i jest. Drużbacka okazała się poetką żaru stłumionej erotyki głównie, pogardzaną słusnie księżką Baka w nowym, niedawno odkrytym zbiorze „Uwagi rzeczy ostatecznych i śmierci grzechowej” wyrósł na poetę, nie pozabawionego „rzeczności” i „sugestywności obrazowej”. Bohemolec jest już tylko „przykładem energii przedpoetyckiej”, u Konarskiego „o poezji nie ma co i mówić”. Rzewuski nabiera „chwilami poetyckiego nawet polotu”, u Narusze-wicza „przeważają rzeczy słabe i niewydarzone, miał on przecież momenty, w których głębiej poezję rozumiał i w których czuł po poetycku”. Trembecki odznaczał się intuicyjną bujnością natury i wrażliwością na zjawiska subtelne, polotne, a mimo to „sprawia wrażenie, jakby był poeta, przeważnie miłowoli”. Karpiński reprezentuje typ wyobraźni gospodarskiej, zdarzały mu się chwile wzruszenia poetyckiego, ale „zawodził zawsze, kiedy chciał wyrazić uczucia bar-

dziej złożone”. Książnik ma więcej od niego żaru, więcej też „sztuki i poprawności”. Jego ekspresja, zwłaszcza w erotykach, posiada wybitne znamiona indywidualne. Złobocki to fenomen literatury, material na poetę „jednak od prawdziwej twórczej poezji daleki”. Wę-gierski „pisał gładko, potocznie, czasem nawet dosyć jedynie”, ale „zachodzi konieczność przeciwstawienia się legendzie, jakoby twórczość jego zawierała akcenty preromantycznego egotyzmu, w rzeczywistości bowiem „lepiej o poezji myślał niż ją praktykował”. „Woronicz i Staszyc przekazali późniejszym czasom na swych stronnicach poetyckich największy patos uczuć narodowych i społecznych, na jaki się mógł zdobyć wiek XVIII”. Niemcewicz „literatek raczej niż poeta”, ale „swoją szeroką kulturą, swoim amor literarum, swoją pracą propagatorską służył nie tylko sprawie ojczyzny, ale i poezji.

Któż więc, zapytacie, spełnia najlepiej warunki prawdziwej poezji, poezji wiekowej w XVIII wieku? Jesteśmy nieco odpowiedziami zaskoczeni: Beniśławska. Autorka jednego z zbiorów poezji religijnych „Pieśni sobie śpiewane”. Ma i ona fragmenty słabe nawet „niemacznego”, „ale ilościowo ogromnie je przeważają ustępy o prawdziwej sile i szlachetnej harmonii”. „Religijna kultura uczuć”, „wydała w książce Beniśławskiej jeden z najpiękniejszych swoich owoców”. Beniśławska w uczuciowym i wyobraźniowym charakterze twórczości, w środkach ekspresji, przepojona silnie pierwiastkami emocjonalnymi na tle wieku XVIII, stanowi zjawisko dodatnio wyjątkowe, jest też osobnością całkowitą, jako ostatni, najpiękniejszy wydziałek tendencji do brzych tradycji wieku XVI i XVII. „W rzędzie wielkich poetów religijnych” Beniśławskiej „nie możemy umieścić”, ale sądząc ją według tego, co w jej wierszach „jest mocne”, „będziemy musieli przyznać, że jest ona poetką prawdziwą”. W zbiorze jej „mieszczą się najwznioślejsze wiersze, jakie w wieku XVIII napisano”.

A Krasicki? Krasicki? W uważnej lekturze tej pochłaniającej książki do rozdziału o nim dążyłam w napięciu. Myślałam sobie, że będzie to najlepsza próba i sprawdzian odpowiedniości teorii w stosunku do trudnego przykładu, do praktyki w jej najlepszym reprezentancie. Próba pierwszorzędna i była! Ocena globalna na twórczość Krasickiego brzmi: „Jego historia poetycka mieści się pomiędzy biegunami: „trajmy mile” i „strzeżmy się rozpacz”. Nie latał na tym dystansie bardzo wysoko, przebywał ow wszelako, a to już jest dowodem zdrowego serca”. Prawda, jakie powściągliwie ustalenie rangi poetyckiej „księcia poetów”? Powiedźmy już i tu: niesprawiedliwie. Przejrzyjmy oceny, które prof. Borowy sam w mistrzowskich nieraz, a zawsze wytrawnych analizach poszczególnych utworów wydał i ustalił. Napiął je przecież na najwyższy ton pochwały! Zgadza się z Krasickim, że „Myszki” ma „wykończenie perłowe, haft pracowity”, „wiersz też płynny niby muzyka”, „Monachomachia”, „jako parodia „rzecz doskonała”, wszystko „jest stylistycznie świetne i świetnie wplecione w całość”, „Isni kunszt stylizacyjny i dowcipem”. „Satyry”; Krasicki w ich opracowaniu jest zupełnie samodzielny i na każdym pomysłcie wyyciska swoje piętno indywidualne”. „dar komicznego widzenia rzeczy przejawia się w nich w całej świetności”, „znakomity kunszt pisarski”, wyborne środki ekspresyjne”. „Doświadczyńskiego przypadku” — w nich mieszanina komiczmu z ironią stanowi najwyższą zaletę portretów charakterowych”. Poza zasługami historyczno-kulturalnymi zachowały w dziełach opowiadania gładkiego i jasnego, a pełnego werwy, wybitnie szczególnie w ustępkach satyrycznych”. „Historia na dwie książki podzielona”. „Instynkt poety stworzył perspektywę głębszą niż to było w zamierze myśliciela”. „Bajki i przypowieści” to „najznakomitsze dzieło” Krasickiego. „Wielka Koncentracja, rygorystyczny narracyjny”, „zwieźłość dorównująca wartościom wielkich mistrzów w tym zakresie. Prosta, czyni je jeszcze bardziej oryginalnymi niż zwięźłość, jest ona najwyższym kunsztem. „Rozmowy zmarłych” — „najlepsza proza Krasickiego”. Kompozycja tu „wszędzie doskonała”. „Czujemy się raz po raz w pobliżu poezji”.

Skąd bierze się ta zadziwiająca „ropiętość nożyc” między powściągliwą, raczej niechętną oceną całej twórczości i wysokim kwalifikowaniem poszczególnych jej przejawów? Nie tylko bynajmniej stać, że prócz owych doskonałości mistrzostwa, kunsztu, widać w niej prof. Borowy przerost intelektualizmu, dydaktyzm moralizatorstwa, a nawet, niedowład wyobraźni, bo przecież ilość pochwał udzielonych Beniśławskiej jest niepomierne mrięzia, a przygany są również ciężkie i została pomimo to kreowana na pierwszą poetkę swego wieku, pierwszą jeszcze przed Kra-

sickim! Dlaczego to zalety, tak przecież znakomite, nie zdołały ukształtować ostatecznej proporcjonalnie odpowiedniej opinii? Oto dlatego, że z teoretycznego założenia poezja miała być tylko tam, gdzie jest emocja, uczucie i wyobraźnia, zaś w analizie konkretnych utworów dzięki wytrawności, smakowi, nieomylnemu wyczuciu wartości znalazł ją badacz i gdzie indziej, o czym, wbrew teorii dawał znać. Prof. Borowy, oczywiście, u Krasickiego uczucia szukał, starannie, choć w mniejszym stopniu — poszukiwał i wyobraźni, oczywiście niewiele ich tam znajduje. Nie dziwi też, że wysunął na bliski plan zbiór liryków Krasickiego, dotychczas przez badaczy prawie przemlczany. Stara się odcisnąć i pieczętowanie zapięknione każde emocjonalne drgnięcie, piękne bywają nieraz te analizy, ale, czujemy to my, i najwyraźniej wie o tym autor: wielkość Krasickiego nie wiąże się bezpośrednio i przekonywająco ani z wyobraźnią ani z uczuciem. Jeśli w konkretnym materiale badawczym tak wytrawnie znawcy nasuwają się maksymalistyczne określenia wartości, a wychodzą poza ustalone granice teorii, nie mógł inaczej wyjść z sytuacji, jak tylko rozszerzyć swe podstawy teoretyczne! Nie mogą wystarczyć „uczucie” i „imaginacja”, gdy poza nimi powstają arcydzieła. Rozumie się — badacz mniejszej miary dla uzyskania pozorów konsekwencji zredukowałby swe analityczne pochwały na rzecz syntetycznej powściągliwości, ale jeoną z naczelnych cech tej wybitnej książki jest intelektualna rzetelność. Nie da się poza tym zaprzeczyć, że zdobywca, które ze sobą niesie, mają wagę istotną zarówno dla opis i oceny twórczości wieku XVIII, jak też innych stuleci. Nie ulega przecież wątpliwości, pomimo wszelkich zastrzeżeń, że jednym z najbardziej elementarnych żywiołów poezji są i emocja i wyobraźnia i że z tego punktu widzenia należało rozpatrzyć właśnie na pozor tak oschły, racjonalistyczny wiek stanisławowski, że więc została tu odrobina wielka przestrzeń zagadnień wielkiej wagi dla historii literatury polskiej i form jej ekspresji nie ogólnej, powszechnej, ale indywidualnej. we wszystkich odrębnościach poszczególnych poetyckich psychik.

Zapyta każdy na pewno — co w takim razie wyróżnia poezję od prozy, nawet od prozy wierszowanej? W tak krótkim artykule odpowiedzieć na to nie łatwo, jeśli prof. Borowy napisał na ten temat pierwszorzędne studium i zagadnienie nie wyczerpał. Wydaje się, że sama istota poezji i wiekowej jej wartości tkwi w specyficznej, poetem tylko właściwej sile i zdolności takiego kojarzenia uczuć, przedstawień i pojęć, takiego ich przenoszenia, transponowania, przekształcania, które w rezultacie daje nie relacjonującą tylko, lecz sugerującą wizję nowego, indywidualnego świata twórczej osobowości. Chodzi tu nie tylko o niezwykłość słów i zestawień słownych, lecz o cały jednolity nurt utworu, zarówno o sposób widzenia jak i przedstawiania, o koncepcję zawartych w nim wyobrażeń i pojęć również, niezależnie w jakiej formie dojdą do głosu i jaki otrzymają wyraz: liryczny, epicki czy dramatyczny, jaka będzie jego tematyczna wartość: polityczna społeczna, czy inna. Zgadza się z prof. Borowym, że sonety Asnyka „Nad gło-

biami” są poetyckim nieporozumieniem, rymowana proza, szkodził im jednak nie tylko obłąkanie, powierzchownym frazesem poetyckim, jak zachłanem przyrzucony intelektualizm, ale przede wszystkim niedostatek poziomu, brak indywidualnego ujęcia, nieumiejętność przetransponowania surowych pojęć filozoficznych na treści poetyckie.

Tak oto z prof. Borowym, badaczem Krasickiego, solidaryzujemy się całkowicie, choć teoretyk nie bardzo nam odpowiada, jak się jednak ma rzecz z twórcami innymi? Znacznie w.tłowiści nasuwa jeszcze ocena Beniśławskiej. Czy poezja, choćby wzruszająca i odczuwająca się nawet bogactwem wyrazu, jeśli opartej środkami, elementami pojęć i wyobrażeń i stylem poprzedniego wieku, może w ogóle uchodzić istotnie za wartościową i w jakich dodatkowych warunkach? Gdyby jakiś współczesny nam poeta napisał zbiór wierszy bardzo sugestywnych w stylu np. romantycznym czy by nas wzruszył? Czy wiersze miałyby wartość? Nie może jednak ulegać wątpliwności, że rewizjonistyczne analizy charakterystyki i oceny prawie wszystkich poetów przeprowadzone przez prof. Borowego, są poznanawczo przekonywujące, ba! sugestywnie! Książka jest wybitnym zarysem życia naukowego, wskaźnikiem, że mimo okropności wojny i jej konsekwencji polska myśl badawcza nie tylko żyła, lecz kwitła. Kwitła, jeśli uczony w tak nieprawdopodobnie ciężkich warunkach miał wytrwałność i energię nie tylko do zebrania materiałów i poddania ich drobniawej analizie (nie, że warsztatu w teście wywodów nie widzimy, w tym właśnie kunszt i brak szolarstwa), ale nadto potrafił zdobyć się na rzecz w nauce najtrudniejszą i przecież najcenniejszą — na ożywiająca wszystkich, całość książki jednoczącą koncepcję poznawczą. Nie można nad tą książką przejść do porządku dziennego. Jest ona wyrazem rezultatem długich przeżyweń i przenikliwych poszukiwań, jednocześnie zaś prawdziwie żywiołowe badawcze temperamento. Ktoś kiedyś nazwał Borowego krytykiem bez nerwów. Może bez nerwów, ale z jakim nerwem! W Polsce, jak mało w jakim kraju, pracownik naukowy, zwłaszcza badacz literatury, trawi żywot w gorkim poczuciu osamotnienia, braku odzewu i zainteresowania, niepewności, wyników własnych, lata nieraz trwających dobiekań. Niechże się na tę książkę otworzą umysły i odcignią wcale żywe i trające duszszą u nas tradycje zainteresowania wiekiem XVIII. Prof. Borowy jest historykiem z rasy krytyków literatury. Elegancja, wytrwałość, rzetelność nawet w momentach ostrej polemiki ze stanowiskiem poprzedników są tu szczególnie godne podkreślenia. Zdaje się, że z książką prof. Borowego przyszła nie tylko nowa myśl naukowa, i nowa, twórcza koncepcja intelektualna, ale też odświeżenie na pozór zatłoczonych problemów, cywienie ich na nowo, nadto zaś wzorowa pozycja stylu polszczyzny naukowej. Prostota, gibkość, niezawodna celność, tok żywy, chwilami nietypowy, ostra intelektualna przenikliwość i przyleganie pojęć, nadsztych, a trafnych, w naszych na ogół zaniedbanych stosunkach języka pisanego, wydała się czymś szczególnie wartościowym i godnym naśladowania!

Maria Rzeuska

KRONIKA FRANCUSKA 6 procent od klasyków

Ożywione dyskusje w prasie literackiej wywołał projekt opodatkowania dzieł klasyków 6% — tak są. Z projektem tym wystąpił francuski związek literatów. Związek ten — Société des Gens de Lettres — nie ma charakteru syndykatu i jest raczej organizacją prywatną, obok której istnieją jeszcze inne stowarzyszenia pisarskie, jak „Syndykat Pisarzy”, „Stowarzyszenie Autorów i Kompozytorów Dramatycznych”, „Stowarzyszenie Pisarzy Kombatantów”, „Komitet Narodowy Pisarzy” etc.

Otrzymała z podatku od klasyków suma rozdzielona byłaby następująco: połowa przypadłaby związkowi literatów, który będzie udzielał emerytur i zapomóg pisarzom starszym, wdowom i dzieciom literatów oraz przeznaczy część tego funduszu na wydawanie studiów naukowych o literaturze. Z drugiej połowy powstałaby Narodowa Kasa Literacka.

Pisarze i wydawcy, którzy zabrali głos w dyskusji nad projektem, wypowiedzieli się przeciw tej

inicjatywie. Wystąpili oni przeciw związkowi literatów, który — ich zdaniem — nie reprezentuje literatury francuskiej, nie należą doń bowiem tacy pisarze, jak: Camus, Gide, Mairaux, Martin du Gard, Sartre etc., nie ma charakteru syndykatu i jest raczej organizacją prywatną, obok której istnieją jeszcze inne stowarzyszenia pisarskie, jak „Syndykat Pisarzy”, „Stowarzyszenie Autorów i Kompozytorów Dramatycznych”, „Stowarzyszenie Pisarzy Kombatantów”, „Komitet Narodowy Pisarzy” etc.

Książka we Francji jest już artykułem bardzo drogiem. Jeżeli do tego, w razie przeprowadzenia projektu, ceny tekstów klasycznych podskoczą o około 30 procent — tak kalkulują wydawcy i księgarze — to wynikiem tej akcji będzie zerwanie kontaktu między masami a tradycją literacką. W ostatecznym rachunku podatnikiem będzie znów nie wydawca, ale czytelnik. Są wreszcie inne, dodatkowe komplikacje. Egzemplarze, które pójdą za granicę, mają być zwolnione od taksy. Jak kontrolować ten zbyt za granicą? Jak kalkulować cenę sprzedanej książki, na którą się składa nie tylko tekst klasyczny, ale również wstęp, komentarz i ilustracje? stg.

Książki • Książki • Książki BELETRYSTYKA T E A T R

„ZIARNO GORCZYCZNE”
Ewy Szelburg-Zarembiny
Opowiadania, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1947; str. 195 i 5 nl.

Alegoryczny tytuł dwunastu opowiadań Ewy Szelburg-Zarembiny wywodzi się z jednej z przypowieści ewangelicznej i charakteryzuje wspólny ich ton i wygłosz ideowy. Opowiadania, bardzo starannie obmyślane i artystycznie zbudowane, robią wrażenie poszczególnych rozdziałów bardzo osobistego pamiętnika z przeżyć ostatniej wojny. Autorka dla tym większego podkreślenia nie tyle może grozy, która jest niewątpliwa i o której pisali i piszą jeszcze wszyscy, ile dziwności i niezwykłości tych przeżyć rzuca je na kontrastowe tło przedwojennych swoich wrażeń, wrażeń przeważnie sielskich, w tych samych miejscach i okolicach podwarszawskich. Metoda to, jak widzimy, dość nowa, polegająca na komplowaniu psychologicznych doznań, na zestawieniu ich ze sobą i komplikowaniu, co w rezultacie daje nieraz zupełnie niespodziane efekty artystyczne.

Każde z opowiadań osnute jest około jednego jakiegoś przeżycia: jakiegoś wspomnienia, nieraz nawet blagiego zdarzenia sprzed wojny i związanego z nim wstrząsającego doznania z czasów wojny. W ten sposób każde z opowiadań staje się jakby artystyczną relacją z gorzko zdobytego doświadczenia, a całość notatnikiem jakże cierpliwym i za jaką cenę zdobywanej stopniowo z biegiem okrutnego czasu dojrzałości ludzkiej.

Bohaterami każdego z opowiadań są zarówno ludzie, jak zwierzęta, ptaki, a nawet rośliny. Ta wspólnota w cierpieniu wszystkich stworzeń, to zjednoczenie w odczuwaniu krzywdy i zła, całej niemożności życia, tak wymownie podkreślanych przez autorkę, ma chyba na celu wykazanie wyjątkowej zbrodniczości wynaturzenia ludzkiego w straszliwych okresach kataklizmów wojennych, w czasach wzajemnej pogardy i nienawiści. Szlachetna tendencja pisarki rozsadza jednak niekiedy obowiązujące wymogi artyzmu. Mimo to w najlepszych partiach opowiadań odnajdujemy zawsze czujący styl dawnych, przedwojennych dzieł Szelburg-Zarembiny.

Marian Piechal

„WĘDRÓWKA RENÓW”
Allen Roy Evansa
Powieść, Warszawa, Spół. Wyd. „Książka”, 1948; str. 238

Po przeczytaniu tej książki trudno naszego życia, w naszych warunkach, w naszym klimacie wydają się sielanką. Ta garstka arcykrytycznych pasterzy przedzierających się ze swą trzodą 3000 renów w ciągu pięciu lat przez podbiegunowe lodowiska, w huraganie wichru, burz śnieżnych i polarnych zawiei, wbrew — zdawałoby się — wszelkim możliwościom wytrzymałości człowieka, — w tym prostym celu, aby zapewnić stałą żywność głodującym Eskimosom — to wyczyn wielkiej miary. Wysilek, wola, wytrwałność, bezwzględność, okrucieństwo, zabobon utrzymują Eskimos i Lapończyka na powierzchni życia wbrew ponurej, zabójczej sile przyrody.

Prosta i realizm opowiadań przykuwają czytelnika już od pierwszego rozdziału. Surowy prymityw stosunek ludzkich, nienawiść, pożądanie, miłość, odarte z osłonek narzuconych przez cywilizację, narodziny i śmierć wśród śnieży, serce niedźwiedzia jako podarek zalotnika, pasja mordowania i żądza krwi, którą się tutaj chłpięce na gorąco, aby utrzymać się przy życiu, mają w sobie coś z pierwowzoru człowieczeństwa, z jego obnażonej szczeroci.

Na duże uznanie zasługuje przekład Wandy Kragen. Oddanie surowej prostoty oryginalnego tekstu wyjątkowo ściśle zharmonizowanego z tematem było nielatwym zadaniem. Przekład polski daje czytelnikowi rzecz najwznioślejszą, t.j. właśnie tę surową prostotę i realizm, dwa wielkie atuty tej książki.

Zofia Siwicka

Czy jesteście już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA”?

DEKLARACJA
Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia” i zobowiązuję się do placenia abonamentu za książki w kwocie 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).
Moje prawa i obowiązki są mi znane.
Imię i nazwisko _____
Adres _____
(podpis)
Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14. Klub Literacki „Odrodzenia”

* O poezji polskiej w wieku XVIII. Kraków: Polska Akademia Umiejętności, 1948; str. 398.

Notatnik muzyczny

Rok Chopinowski 1949



obejmujące całą twórczość mistrza. Redakcję tej publikacji powierzone prof. A. Chybińskiemu, a opracowują ją — poza wyżej wspomnianym — profesorowie: Bronarski, Cnorniński, Feicht, Frączkiewicz, Jachimecki, Lissa, Miketta i Szczepańska. Wydawcą jest Polskie Wydawnictwo Muzyczne.

Obok tych dwu zasadniczych, pomnikowych wydawnictw ukazały się inne, popularyzujące postać i dzieło Chopina wśród najszerszych mas.

Koncerty, wystawy, książki, teatr, może i film, współdziałać mają w uświetnieniu „Roku Chopinowskiego”. Żelazowa Wola, w której urodził się Chopin, czeka również na konkretne zastosowanie. Kilka pań i pań w domku rodzinnym i kilka dobrych fortepianów mogłoby się przyczynić do tego, by stworzyć tam studium dla młodych, wyróżniających się szczególnie pianistów. W ten sposób, zamiast fabrykować jedną więcej, stojącą na uboczu i w rzeczywistości raczej martwą „pamiątkę”, można by z tego miejsca zrobić żywy ośrodek kultury muzycznej.

W 1949 roku odbył się międzynarodowy konkurs chopinowski, nawiązujący do świetnych, przedwojennych tradycji. W tym roku, 17 czerwca, odbędzie się w Warszawie ogólnopolski konkurs eliminacyjny, na który wpłynęło blisko 30 zgłoszeń. Odbędzie się on publicznie, w dwóch etapach:

Na pierwszym koncercie kandydat ma wykonać jedną z dwóch sonat albo, zamiast sonat, jedną z ballad i scherzo lub fantazję czy barokale. Poza tym 2 etudy, nokturn, dwa mazurki i polonez (As-dur, fis-moll lub Polonez-fantazja). Około dwunastu najlepszych kandydatów dopuszczonych zostanie w drugim etapie do wykonania jednego z koncertów z orkiestrą.

Mamy nadzieję, że plany, których owocem ma być wzniesienie pomnika Chopina, przyniosą nam dzieło sztuki, stojące na wysokości swego zadania. Oddajemy tu głos i decyzyjnie rzeźbiarom! Przykład Paderewskiego powinien nas ostrzec przed decyzjami muzyków w rzeczach dotyczących kultury plastycznej.

Oto, w największym skrócie „grube linie” planów Roku Chopinowskiego. Rozmyślając nad nim myślę, że nie ma on być okazją do akcji, której rezultatem mogłoby być „przejedzenie się Chopinem”. Francuzi, którzy nie lubią rocznic, ostrzegali przed zbyt częstym wykonywaniem dzieł Debussy'ego, z okazji trzydziestej rocznicy jego zgonu. Rok Chopinowski nie powinien być też okazją do nudnych obchodów i wyzywania się w mowach, akademiach i posiedzeniach, których i tak już jest dosyć. Mamy nadzieję, że takich pil unikniemy, a zostanie to co trwałe i konkretne: wydawnictwa, konkursy, stypendia, budowle, pomniki, będący dziełem sztuki i pomnożeniem naszych zbiorów, bibliotek i chopinowskich pamiątek.

Zygmunt Mycielski

Aby język giętki...

Dla wszystkich piszących książki, nowele, artykuły, reportaże, felietony, wiersze do „Szpilek”, noty do „Kuchni”, listy do redakcji, okólniki, zarządzenia, siogany, recenzje, krytyki, i napisy na taśmie filmowej;

dla wszystkich używających języka polskiego do pochlebiania szefowi, karcania podwładnego umizgów do ukochanej, wygłaszania przemówień imienninowych, organizacyjnych, partyjnych, samorządowych i państwowych;

dla wszystkich szubaków, matuzystów, studentów, nauczycieli, profesorów, urzędników magistrackich i czytelników „Dziennika Łódzkiego”;

żeby wiedzieli, że się mówi: przeciwpaństwowy a nie antypaństwowy, aparat radiowy a nie radioaparat, otoczył opieką a nie brać w ostonę, wszystek a nie cały, w celu a nie celem, chodzić do szkoły a nie uczęszczać do szkoły, co miesiąc a nie z miesiąca na miesiąc —

wyszedł nakładem „Czytelnika” „Słownik polskich błędów językowych” profesora Stanisława Słonńskiego i chociaż mnie się wydaje, że poprawie „co miesiąc” nie zawsze może zastąpić błędne „z miesiąca na miesiąc”, a błędne „cieszyć się na twoją wizytę” nie równa się poprawnemu „cieszyć się z twojej wizyty” i że zbyt niu-purzym źle, bo hamując działa na rozwój języka, który wzbogaca codzienna mowa ludu, to jednak mi-

Mariusz Margal

Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia” wynosi — jak dotychczas — 80 zł

CZYTELNIK SPÓLDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

MARIA DĄBROWSKA NOCE I DNI Tom IV. WIATR W OCZY str 462 zł 660

KSAWERY PRUSZYŃSKI KARABELA Z MESCHEDU Opowiadania. str 294 KDK

PROSTE KSIĄŻKI O ZAWIŁYCH SPRAWACH STANISŁAW GOŁĄB ZARYS MATEMATYKI WYŻSZEJ str 138 zł 990

WZOROWY ZAWODOWIEC EUGENIUSZ SZMIDTGAŁ MATERIAŁY FOTOGRAFICZNE I ICH OBROBKA str 101 zł 240

OMNIBUS

Biblioteczka Niepróżnującego Próźnowania

Grid of book titles including: JAK OBLICZONO SZYBKOSC SWIATEŁ, DLACZEGO KUKUŁKA KUKA, TAJEMNICA KOLOROWEGO WIDMA, DLACZEGO KREW JEST CZERWONA, JAK ZŁOWIĆ SLEDZIA, JAK ZACZYNNANO PISAĆ PO POLSKU.

Cena każdego tomiku zł 15

CAMERA OBSCURA CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura”...

Nagrodę zł. 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Janusz Meissner, Zawopane, willa „Texas”, za wycinek z „Dziennika Literackiego” z dn. 25.IV.1948.

JAN Z CZARNOLASU — BOGDAN Z CIEMNOGRÓDU. Fraszki są niewątpliwie jedną z najmocniejszych pozycji naszej literatury. Wyjątkiem, potwierdzającym niniejszą regułę, jest Bogdan Brzeziński, nadworny fraszkopis „Dziennika Literackiego”...

Na „Wodę wyżej” Jalu Kurka O, niezwykły Kurku! Powiem krótko: — Cześć Ci! Bokiem leżesz „Wodę”, W której dużo treści! Nie wdając się w analizę cieczy, którą leje Kurek, protestujemy energicznie przeciwko insynuacji, jakoby robił to bokiem. Z następnego utworu dowiadujemy się, co skłoniło p. Bogdana do pisania fraszek: Pieniądz posiada swoistą wymowę, Gdy płacą — człowiek rzadko jest przeciwny... Stąd wnioskujemy, że wymowa fors, To jest ów język komunikatywny... Tak, ale „nie być przeciwnym”, to stanowczo za mało, by drukować w piśmie literackim. Świadczy o tym kolejna fraszka:

Analfabetyzm. Smutna to prawda, ale niestety Wciąż pokutuje analfabetyzm. Niektórzy ludzie dużej kultury Nie umią czytać — wierszy niektórych... Analfabetami, panie Bogdanie, są nie tylko ci, co nie umią czytać, ale przede wszystkim ci, co piszą, choć nie umią pisać!

OMNIBUS Biblioteczka Niepróżnującego Próźnowania

O SPRAWIEDLIWY PODZIAŁ GŁÓW! W I-szym numerze „Magazynu Tygodniowego” znajdujemy rewelacje na miarę światowa: Przybyło ludności na świecie Mimo wojny ludność globu ziemskiego powiększyła się o 8 procent, t. zn. o około 200 milionów. Produkcja żywności w tym czasie spadła o 7 procent.

Organizacje międzynarodowe podały oficjalnie, że według przybliżonych obliczeń ludność świata w r. 1946 wynosiła 22 miliardy głów. Z przydziału dwudziestu dwu miliardów głów, przeznaczonych dla dwumiliardowej ludności świata, prosimy o jedną co najmniej głowę dla autora notki. Zwracamy, że w innym miejscu czytamy: Ambicją zespołu redakcyjnego jest, by „Magazyn” stał się ogrodem, w którym hodować będziemy najpiękniejsze kwiaty. Będziemy usiłowali plenić ten ogół, jak najstaranniej, by nie wyrosły w nim żadne chwasty.

„nie żałując wody, by „kwiatki” rosły wysoko...”

KARYGODNY HANDEL 109 numer „Trybuny Robotniczej” donosi: Na marginesie powyższego podkreślić należy wydatną pomoc wojewody Zawadzkiego, który znacznymi dotacjami przyczynił się do rozwoju Komisji Wydawniczej, jak również ostatnio sfinansował sprawę zakupu drukarni litograficznej oraz rektora Politechniki Śląskiej inż. Kuczewskiego. A „Trybunie Robotniczej” radzimy kupić ko-rektora!

Kierowcy! Bierzcie przykład. W Łodzi, przy zbiegu ulic 11 listopada i Zeromskiego, kierowca samochodu Skowron Władysław zam. przy ul. Tuszyńskiej 4, nie jechał na chłopca Maciejewskiego Zdzisława, zamk. przy ul. Abramońskiego 11, wychodzącego z tramwaju jadącego w przeciwnym kierunku. Po spowodowaniu wypadku kierowca odwoził chłopca, który doznał ciężkich uszkodzeń ciała do szpitala Ubezpieczalni Społecznej. Następnie zgłosił się sam do kompanii ruchu przy komisariacie M.O. (CH).

Kierowcy! Nie bierzcie przykładu!